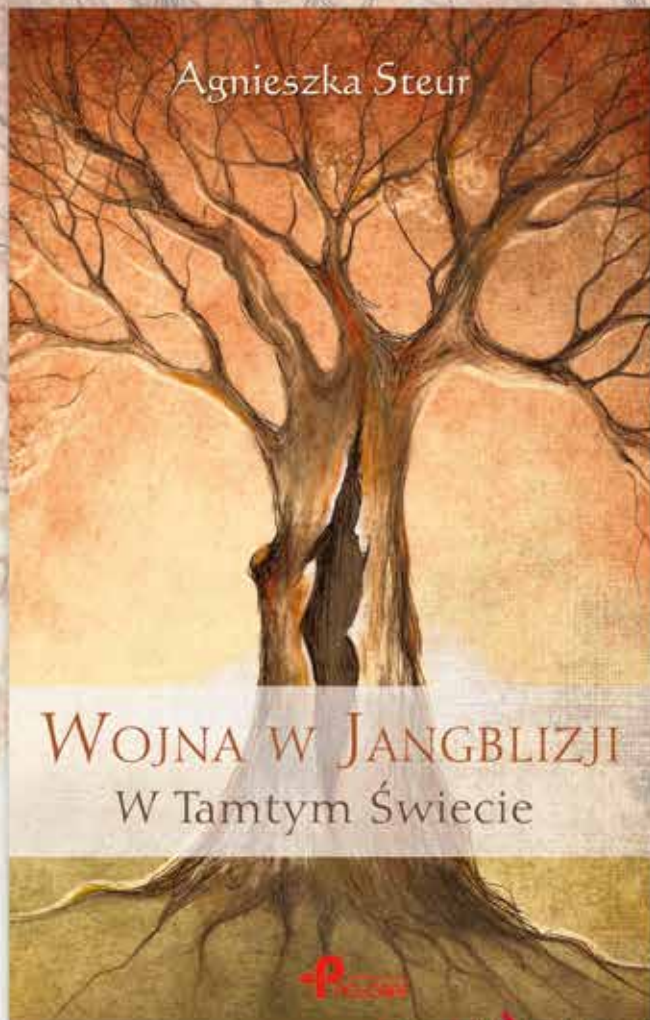


Miłych wakacji!



Agnieszka Steur

WOJNA W JANGBLIZJI
W Tamtym Świecie



Utalentowana, wszechstronna pisarka.
Atrakcyjna powieść dla dzieci i dorosłych.
Doskonały materiał na scenariusz filmowy.

Zofia Schrotten-Czerniejewicz
www.scenapolska.nl

Pełna emocji i przygód powieść, która
wciąga bez reszty. Jangblizja to najlepiej
przedstawiona kraina fantasy
w ciągu ostatnich lat!

Danuta Awolusi
Książki Zbójckie

Człekokształtne stwory, dwa równoległe żyjące
swoim życiem światy, królowie, magia...
tego możesz się spodziewać czytając historię
"Wojna w Jangblizji". Potrzebujesz zachęty?
To dodaj jeszcze, że takiej powieści fantasy
jeszcze nie czytałeś.

Gosia Szwed
Lejdiz Magazine

NOWOŚĆ!!!

Już w sprzedaży!!!

zamówienia
www.wojnawjangblizji.com



Moja pierwsza powieść fantasy.
Zapraszam,
Agnieszka Steur

Patronat:



dlaStudenta.pl

webook.pl

KZ
KRAJKA ZBOJCKIE

Lejdiz

Publikacja i Drukarnia
Pracownice Kulturalne i Twórcze

granice.pl

duze a.pl



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy,

Za każdym razem, gdy zapraszam Państwa do lektury nowego kwartalnika, zastanawiam się, kim są nasi Czytelnicy? Kto czyta to, o czym piszą autorzy starający się przekazać swój punkt widzenia, swoje myśli i emocje, swój humor lub po prostu coś opowiedzieć. Dla kogo jest nasze pismo i po co?

My piszemy, bo to nasza pasja i wierzymy, że ktoś nas czyta, a przynajmniej – może czytać.

A czytający? Może nikogo nie interesuje nasze pismo? Konkurencja na rynku wydawniczym ogromna, do tego Internet, media wszelkiego gatunku, a my po staremu: tekst, fotki, skład, redakcja, drukarnia, poczta, itd. Kolejny kwartalnik opuszcza nasze redakcyjne gniazdo i trafia „pod strzechy” w Holandii, Polsce, Australii...

Jesteśmy pismem literackim i społeczno-kulturalnym. Naszym celem jest dbałość o język polski i wyrażanie szacunku do wielokulturowości. W naszych materiałach staramy się za bardzo nie narzekać i nie smuć, a o sprawach drażliwych, których nie sposób nie poruszać, piszemy w sposób niewywołujący konfliktów. Chcemy, aby lektura naszego pisma sprawiała Państwu przyjemność i aby nasz Czytelnik z niecierpliwością czekał na każdy następny numer. A co w tym numerze? Wierzę, że przeczytacie go strona po stronie i może napiszecie coś od siebie, poszerzając grono naszych autorów.

Zwracam się do Wszystkich, którzy nas czytają i zapraszam do lektury najnowszego numeru „Sceny Polskiej”. Pierwszy numer



Fundacja „Junior” na warsztatach wikliniarskich w Nowej Róży – lipiec 2013

ukazał się w 1994 roku, zatem w przyszłym roku będzie obchodził 20-te urodziny. To niewątpliwy sukces, że tak długo trwamy, prawie w niezmienionej formie. A może potrzebne są zmiany? Czekamy na opinie Czytelników.

A teraz, korzystajcie z miłego wypoczynku i pogodnego lata!

ZSCz

SCENA POLSKA | Kwartalnik, nr 2 (74) 2013 | ISSN 1233-7633

Współfinansowane ze środków otrzymanych od Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2013”

WYDAWCA/ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Zofia Schrotten-Czerniejewicz (red. nacz.), Gienek Brzeziński (sekr. red.), Agnieszka Steur, Alicja Grygierczyk, Natalia Schrotten, Ewa Augustyniak oraz zespół.

Stichting Pools Podium

Tel. 31 (0) 30 2718296, fax. 31 (0) 30 2719613, E-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, 51.85.44.443.

www.scenapolska.nl | www.poolspodium.nl

Zdjęcia: Archiwum SPP

Skład: Mac Map / Mariusz Mamet

Druk: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki, Tel. +48 (61) 817 27 64

Okładka: Stowarzyszenie „Jeden Świat” w Nowej Róży

SCENA POLSKA



POOLS PODIUM

www.scenapolska.nl

ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY!

Zadbaj o stałą, bezstresową dostawę kwartalnika, zostań Przyjacielem Sceny Polskiej w Holandii. Wpłaciwszy dobrowolną kwotę na konto 51.85.44.443 (tnv. Stichting Pools Podium) zapewnisz sobie ciągłość lektury, łatwość dostępu do niej i informacje o wszystkim, co organizuje Scena Polska w Holandii.

Moja przygoda ze Sceną Polską

NATALIA KULIK

Teoria to za mało, dlatego na ostatnim semestrze studiów magisterskich zdecydowałam się skorzystać z możliwości wyjazdu na praktyki zagraniczne w ramach programu Erasmus.

Informacje na temat Sceny Polskiej i jej działalności znalazłam w Internecie. Zainteresowało mnie, że stowarzyszenie działa od wielu lat, posiada ugruntowaną pozycję w świecie kultury i bogatą ofertę programową oraz szeroki zakres działalności.

Pierwsze spotkanie z prezes Sceny Polskiej, było pełne niespodzianek i – jak w filmach Hitchcocka – z czasem przybywało ich coraz więcej. Pani Zofia przyjęła mnie u siebie w domu w Utrechcie, jeszcze zanim rozpoczęłam praktyki, abyśmy mogły lepiej się poznać i omówić szczegóły związane z moją pracą dla fundacji. Atmosfera nie sprzyjała jednak spotkaniu, ponieważ piesek Pepsik, bardzo się rozchorował, co poruszyło wszystkich domowników i całkowicie zagnało ich uwagę. Tego dnia poznałam także męża pani Zofii oraz syna, który przybył, aby zbadać pieska. W pewnym momencie ja również poczułam się odpowiedzialna za udzielenie pomocy.

Kiedy kryzys został zażegnany i Pepsik poczuł się lepiej, pani prezes opowiedziała mi ze szczegółami historię działalności fundacji, zrelacjonowała przebieg odbywających się na przestrzeni lat wydarzeń kulturalnych i przywoływała nazwiska znanych postaci teatru, kina, muzyki, których sprowadziła ku radości holenderskiej Polonii, m.in. Czesław Niemen, Krystyna Janda. Opisy wydarzeń płynęły z ust Pani Zofii jak woda w potoku, nazwiska sypały się niczym z rękawa przy akompaniamencie niegasnącego uśmiechu i błyszczących oczu. Pani Zofia zaimponowała mi młodzieńczą energią i entuzjazmem. „Tak musi wyglądać osoba z powołaniem?” – pomyślałam.

Duch tego pierwszego spotkania unosił się nad całym moim pobytem w Holandii i podczas trwającej prawie trzy miesiące współpracy ze Sceną Polską. Było wesoło, zaskakująco i ambitnie. Tak jak chciałam.

Scenie Polskiej pomagałam przy organizacji kwietniowej V Wiosny Filmowej. Projekcje odbyły się w Utrechcie, Delft i Tilburgu. Każda z nich zgromadziła pokazną widow-

nię, składającą się nie tylko z Polonii, ale także z Holendrów i studentów zagranicznych. Festiwal był na tę okazję oczywiście świetnie przygotowany – każdy film opatrzony został napisami w języku angielskim. Wiosna Filmowa jest bowiem świętem polskiego kina, które z założenia ma nawiązywać i podtrzymywać dialog między różnymi kulturami. Z początku chodziło głównie o kulturę holenderską, jednak kraina wiatraków jest tak zróżnicowana pod względem narodowościowym i etnicznym, iż nie można na ten fakt przyszywać oka. Na *eventach* organizowanych przez Scenę Polską mile widziani są wszyscy.

Różnorodnością odznaczała się nie tylko lista zaproszonych gości, ale także sam program festiwalu. Prezentowane były produkcje najnowsze, emocjonujące, wstrząsające, kontemplacyjne, mroczne, zabawne, romantyczne, rodzinne... Każdy, nawet najbardziej wymagający widz, mógł znaleźć w repertuarze coś dla siebie.



Polska Wiosna Filmowa, trzecia z lewej – autorka

Gośćmi specjalnymi festiwalu były reżyserka filmu „Dzień Kobiet” – Maria Sadowska oraz odtwórczyni głównej roli – Katarzyna Kwiatkowska. Po projekcji fabuły w kinie Wolff City publiczność miała możliwość zadawania pytań reżyserce i aktorce. Podczas panelu Q&A poruszono wiele interesujących kwestii, jak temat wykorzystywania pracowników przez korporacje, problem warunków pracy sprzecznych z normami prawnymi oraz walki jednostki z systemem.

Projekcje towarzyszące w Delft i Tilburgu, mimo skromniejszego programu, także skłoniły do przybycia miłośników kina, wiernych czytelników kwartalnika „Scena Polska” oraz przyjaciół fundacji.

Jak wszystkie wielkie festiwale, Wiosna Filmowa miała swoją galę rozdania nagród. Wiklinowe maski otrzymały osoby związane od lat z działalnością Sceny Polskiej w Holan-

dii: Is Hoogland z Melkweg Cinema w Amsterdamie i Tom van Velze z Filmhuis Lumen w Delft. Nie obyło się bez wzruszeń, wręczenia kwiatów i podziękowań. Było to jednak całkowicie uzasadnione – bez nagrodzonych osób, ich przyjaźni i wysiłku Festiwal nie byłby tym, czym jest dziś.

Wiosna Filmowa jest bez wątpienia wydarzeniem szczególnym w kalendarzu holenderskich imprez i każdego roku jest efektem ciężkiej pracy organizatorów. Nie wolno o tym zapominać. Przygotowania do festiwalu trwają cały rok i pochłaniają czas, energię, środki i wiążą się z ogromnym stresem. Dopóki jednak znajdują się osoby chętne wziąć w nim udział, trud oplaca się. Pani Schrotten-Czerniejewicz zdaje się żyć kulturą i dla kultury. Aż strach pomyśleć, co mogłoby się stać, gdyby nagle przyszło jej zrezygnować z prowadzenia działalności. To tak, jakby podciąć ptakowi skrzydła.

Wiele stowarzyszeń i organizacji polonijnych zmagają się obecnie z problemem finansowania działalności, znajdowaniem sponsorów czy promocją w mediach lokalnych. Często najlepszą i najbardziej skuteczną formą zareklamowania wydarzenia jest nadal tzw. „word of mouth”, czyli po prostu ludzie przekazujący sobie informacje na temat przeszłych i przyszłych wydarzeń, oraz wsparcie miejscowych przedsiębiorców i osób prywatnych. Ważnym elementem mającym wpływ na powodzenie jakiegokolwiek projektu jest pomoc i zapał osób chętnych udzielenia pomocy w jego organizacji. Wszystkie te skład-

niki w efekcie końcowym przekładają się na sukces bądź klęskę wydarzenia. Mimo wielu przeciwności, dzięki wielu życzliwym osobom, Scena Polska funkcjonuje nadal, za nic mając sobie kryzys ekonomiczny, cięcia budżetowe czy brak pomocy ze strony instytucji zewnętrznych. Motorem działania Pools Podium jest zadowolona i oczekująca nowych inicjatyw publiczność – swiste perpetuum mobile.

W ciągu ostatnich 21 lat zarówno Scena Polska jak i jej przyjaciele doświadczyli wielu radości i wzruszeń. Wspólna praca, wspólne przeżywanie i świętowanie zbliżyło do siebie różne kultury i narody. Cieszę się, że mogłam być częścią tej historii i zachęcam, aby samemu przekonac się o tym, jak to jest do niej należeć.

NATALIA KULIK
KRAKÓW/UTRECHT

Salon poetycko-muzyczny im. Wandy Sieradzkiej



AMSTERDAM, 15 CZERWCA 2013

Jak opisać uczucia? Jak oddać wzruszenie? Jakie słowa znaleźć, kiedy chcesz wyrazić nastrój wieczoru, który cię pochłonął? Jak opowiedzieć ułomną prozą urok poezji? Jak na papierze „wyspiewać” piosenki?

To był wyjątkowy wieczór. Pełen poezji, muzyki, Wandy... Myślę, że upamiętniliśmy Ją w sposób, jakim ona sama byłaby zachwycona. Bez patosu i smutków, bez napuszonych przemówień, bez wynoszenia pod niebiosa Jej twórczości. Zresztą nie omawialiśmy tej twórczości; ta doskonale broni się bez naszego udziału! Rozmawialiśmy o Niej samej, o naszej z Nią przygodzie, o tym, czym dla nas była, co znaczyła, kim pozostała w naszej pamięci. U każdego jakoś inaczej, raz zabawnie, raz mniej, ale przecież te okruchy wspomnień, te kawałki pamięci każdego z nas, układały się w jakąś spójną całość, w jakąś kolorową mozaikę, będącą Jej życiem, czy też może raczej naszym o Jej życiu wyobrażeniem.

Nie była to „akademia ku czci”, raczej spotkanie przyjaciół, rozmowa przy stole (wymyślonym), wspominki przy ognisku (równie wymyślonym).

SALON POETYCKO-MUZYCZNY IM. WANDY SIERADZKIEJ



Uczestnicy dzielili się na dwie wyraźne grupy; tych, którzy Wandę znali i o Niej opowiadali oraz tych, dla których ten wieczór był przede wszystkim poznaniem autorki „Nie płacz, kiedy odjadę...” Myślę, że dla obu tych grup było to wyjątkowe przeżycie. I bodaj czy nie największym komplementem i dla Wandy, i dla tego wydania Salonu, i dla nas samych było to,

co usłyszałem później od jednej z młodych osób: zazdroszczę wam tego, że znaliście Wandę, to musiała być niesamowicie fascynująca kobieta.

Oczywiście wieczór ten nie mógł być tak udanym bez obecności Asi Kowalewskiej. To dzięki niej właściwie do niego doszło, to ona z takim entuzjazmem do tego pomysłu podeszła, że nawet odległość z Berlina, gdzie obecnie mieszka, nie była dla niej żadną przeszkodą. Piosenki przez nią śpiewane stały się jakby kręgosłupem, fundamentem, nośnikiem dla naszych wspomnień. Piosenki, które wszyscy znają: „Gdzie są chłopcy z tamtych lat”, „Wróć miły”, „Nie mów nic”... Ale też nowe, specjalnie na ten wieczór przez Asię skomponowane, do wierszy „Są w naszym życiu ludzie” czy „Istoty – roboty”.

I niczego nie zmienił w tym wszystkim fakt kilku technicznych problemów: że dopiero czwarty podłączony komputer zechciał wyświetlić przygotowany na ten wieczór krótki program z TVP Polonia. A potem okazało się, że nie ma statywu do przywiezionego przez Asię mikrofonu; statyw został w ostatniej chwili doniesiony, ale nie za bardzo się przydał, bo... zginęły gdzieś kable od głośników; pozostał subwoofer, który się jednak nie sprawdził, więc Asia śpiewała bez wzmocnienia, próbując wynieść swój głos ponad dźwięki pianina. Ale te drobne przeszkody okazały się do przeskoczenia; atmosfera i akustyka w piwnicy Domu Polskiego w Amsterdamie jakoś je niwelowały. Największy ból sprawiały dostawione w ostatniej chwili krzesła. Bo stały...puste. Patrzyłem po sali i nie mogłem uwierzyć, że nie widzę na niej tych wszystkich, których obecności tak bardzo oczekiwałem, którzy – wydawać by się mogło – czekali pięć lat na tę okazję, żeby przyjść i podzielić się swoimi o Wandzie myślami. No cóż, każdy zapewne miał jakiś ważny, lub mniej ważny powód, żeby nie przyjść. I ja to rozumiem. A przecież, jak śpiewał Okudźzawa, „wsio takij żał”...

Ale w końcu najbardziej żałować powinni właśnie oni – nieobecni. Bo my przeżyliśmy uroczyste, niezapomniane trzy godziny z twórczością i niejako w towarzystwie Wandy Sieradzkiej, godziny, które zapamiętamy na długo, godziny, które pokazały, że pamięć o Niej, ale przede wszystkim Jej wiersze i piosenki stanowią o tym, że Ona wciąż jest tu z nami. **GB**



Ja to mam szczęście...

Z Dorotą Kolak, znaną aktorką teatralną, serialową, filmową, adiunktem w Akademii Muzycznej w Gdańsku na wydziale wokalnno – aktorskim, laureatką wielu prestiżowych nagród rozmawia Alina Kietrys.



ALINA KIETRYS

– Jesteś już 30 lat na scenie. Praca w teatrze to Twoja specjalność. Prestiżowe nagrody za świetne role, akceptacja widzów, ciekawe kreacje filmowe. Odradzasz się ciągle na nowo. To imponujące, tym bardziej, że nie ukrywasz wieku i mówisz, że w kinie grasz już tylko matki i bacie...

– Masz rację. Mam już swoje doświadczenia. Ale aktorstwo to moje życie. Gdybym drugi raz wybierała zawód – też bym trafiła na scenę. Nie umiem myśleć nawet, że mogłabym robić coś innego. Nawet jeśli jakaś rola nie do końca jest taka, jak bym chciała, to i tak wiem, że o 19.00 rozpocznie się spektakl i ja zrobię wszystko, by tego wieczoru zagrać jak najlepiej. Nie umiem nic robić na pół gwizdka. Moja twórcza energia realizuje się i wytwarza na scenie.

– Nieustannie podróżujesz do Warszawy, Krakowa...

– To oczywiście wszystko przez seriale, dostałam rolę dość niespodziewanie, a tę ostatnią w bardzo dobrym towarzystwie, bo znalazłam się wśród dojrzałych i doświadczonych aktorów, moich ulubionych kolegów. Są dwie pięćdziesięciolatki – Iwona Bielska, świetna aktorka krakowska i ja, i dwóch starszych panów w sile wieku. I nagle okazało się, że jest zapotrzebowanie widzów na taką czwórkę: na babcie i dziadków, którzy są akceptowanym przez widzów kwartetem. Myślę oczywiście o scenariuszu Agnieszki Pilaszewskiej i serialu *Przepis na życie*. Zaczynamy kolejny sezon. Początkowo ponoć nie wszyscy byli przekonani, że jesteśmy bardzo potrzebni w tej opowieści, bo co to za losy...A teraz się okazuje, że poziom akceptacji „dla starsuszków” przeszedł

najmniejsze oczekiwania. Może już piękni i młodzi się trochę „przejedli” i przyszła pora na nieco szalonych, pomysłowych dojrzałych bohaterów.

– Masz już swój fan-club zarówno za role teatralne jak i filmowe.

Tak i wyobraź sobie, że dowiedziałam się o tym od kolegów w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku. Bardzo się cieszę z tego. To miłe, że są ludzie, którzy doceniają to co robię i są mi życzliwi. Mój teatr w Gdańsku jest dla mnie szczególnie ważny. W czasach, gdy wszyscy wędrują, przenoszą się bez przerwy, ja tu mam swoją oazę niemal szczęścia. Teatr to specyficzny świat. Znam go, odczuwam go całą sobą. Kiedy wchodzę do swojej garderoby, którą dzielię z Wandą Neuman – to wiem, że jestem w swoim świecie, bezpiecznym, przyjaznym. Zapowiedź inspicjenta pół godziny przed przedstawieniem jest dla mnie najsłodszy powitaniem.

– Byłaś już znaną aktorką, kiedy trafiłaś na mały ekran. Był to rok 1994 i *Radio romans* – serial, którego akcja rozgrywa się w Trójmieście.

– Bo widzisz, ja ciągle o tym mówię. Mam szczęście i tyle. Moje szczęście polegało na tym, że postanowiono zrealizować serial telewizyjny poza Warszawą i wybrano Gdańsk. Bo najważniejsze, by znaleźć się w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie tam, gdzie dadzą ci szansę. I ja się znalazłam. Piszący scenariusz: Ania Czekanowicz, Adzik Zawistowski, Marek Wojtasik i Tadeusz Buraczewski znali aktorów Teatru Wybrzeże i napisali rolę dla mnie.

– A potem była przerwa w serialach?

– Nie było przerwy, tylko ja zaczęłam wybierać seriale, żeby nie było przypadkowo. Staralam się też, żeby np. po *Pensjonacie pod Różą*, gdzie grałam alkoholicką, zagrać matkę u Magdy Łazarkiewicz w serialu *Marzenia do spełnienia*. Staralam się stale utrzymywać kontakt z kamerą. Ponieważ dość późno zaczęłam grać w filmie, zależało mi na tym, żeby uczyć się jak najwięcej. *Radio romans* było moim debiutem filmowym 15 lat po debiucie scenicznym. Musiałam więc gonić czas.

– Po serialach zaczęły się role w filmach.

– Zaczęły się, ale nie było ich tak wiele na początku. One się bardziej zdarzały.

Pamiętam pierwszy film *Cudze szczęście*, to była rola recepcjonistki.

– Zagrałaś w 11 filmach pełnometrażowych i 10 serialach. Dzisiaj dwa ostatnie filmy z Twoim udziałem święcą prawdziwe triumfy na festiwalach międzynarodowych. Myślę o *Lęku wysokości* Bartosza Konopki i *Miłości* Sławomira Fabickiego. W obu zagrałaś matkę głównych bohaterów.

– Tak, to bardzo ważne dla mnie filmy. I naprawdę jestem dumna z sukcesów obu. To bardzo ważne, gdy się dostaje szansę nieprzeciętnej roli w ważnym filmie. Dla mnie tak samo ważne są role epizodyczne, jak i pierwszoplanowe. Każdą chcę zagrać jak najlepiej. Nie uznaję powiedzenia, że jakoś to będzie. Mam jeszcze ciągle niewielkie doświadczenie ekranowe, bo ileż to moich ról wobec wielości ról wybitnych aktorów Janusza Gajosa, Bogusława Lindy czy Mirka Baki. A z tych ostatnich filmów, w których grałam, bardzo, bardzo się cieszę.

– Lubisz kamerę?

– Tak, ale kamera nie lubi mnie, no popatrz na mnie uważnie na ekranie. Kamera lubi mnie, kiedy jestem obnażona i gram role schyłkowe, spadkowe. To wtedy kamera ze mną super współpracuje. Moja mama pytała mnie ostatnio: dlaczego ty choć raz nie jesteś królowną?

Ale z *Przepisu na życie* się ucieszyła, bo stwierdziła, że jestem wreszcie porządnie ubrana i uczesana. A tak serio, to ja bardzo lubię pracę z kamerą. Po latach intensywnego bycia w teatrze, to teraz praca na planie – choć też intensywna – jest fascynująca. Jeszcze to mi się podoba, jeszcze to mnie nie znudziło.

– Teatr cierpi?

– Myślę, że nie, tym bardziej, że jestem z teatrem po prostu zrośnięta. Od dziecka byłam do teatru prowadzana przez rodziców. Moja mama miała i ma duszę artystki, była choreografem, a ojciec był kierownikiem technicznym w Teatrze Bagatela i potem Starym Teatrze w Krakowie. Wychowywałyśmy się w teatrze. Pamiętam, jak z siostrą, która też jest aktorką, zaprowadzono nas na *Chatę wuja Toma* w Teatrze Bagatela. Po scenie, w której wuj Tom płynął w ciemnościach rzeką, dostałam go-

rączki i trzeba mnie było zawieźć do domu. Chodziłam do podstawówki muzycznej i do teatru. W domu ciągle bawiliśmy się w teatr. W teatrze u taty wszędzie musieliśmy zajrzeć. Mama też nas prowadziła i do muzeów, i na wystawy, a w Krakowie było co oglądać. Zawsze.

– A kiedy byłaś pierwszy raz w Piwnicy pod Baranami?

– A wiesz, że po szkole teatralnej, bo ja nie należałam do takich wyluzowanych dziewcząt – bywalczyń. W szkole teatralnej głównie się uczyłam, czego dzisiaj trochę żałuję, bo mogłam sobie fajnie pobalangować, pożyć. Ale też zanim do tej szkoły trafiłam, musiałam pokonać sporo trudności np. nauczyć się mówić „r”. Ćwiczyłam uparcie, aż w końcu się udało, bo najbardziej mnie złościło stwierdzenie, że z takim „r” to nie mam żadnych szans. Profesor Anna Polony wiele razy mi powtarzała – teatr to życie. Chcesz być na scenie, to pracuj do upadłego. No więc pracowałam.

– I po szkole teatralnej w Krakowa ruszyłaś do Kalisza, do teatru im. Bogusławskiego. Czy pamiętasz swoją pierwszą rolę?

– Oczywiście. Pierwszą dużą rolę zagrałam w *Poskromnieniu złośnicy* Szekspira w spektaklu dyplomowym u Anny Polony, jeszcze w szkole. I wtedy zostałam zaproszona przez Bogdana Toszę do Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie. Reżyserował on *Dom Bernardy Alba* Lorki i miał dla mnie dużą rolę Adeli. I to było znowu to moje szczęście. Nie musiałam na nic czekać, od razu trafiłam na dużą scenę.

A pierwsza rola już z dyplomem aktorskim – to w *Ślubach panińskich* Fredry właśnie w Kaliszu. Myśmy do Kalisza pojechali dużą grupą, dziesięć osób. Tam byli ludzie, których dzisiaj zna cała teatralna Polska: Tadeusz Słobodzianek, Rudolf Ziolo, Janusz Stokłosa i nas siódemka aktorów. Czuliśmy się tam świetnie, bo dyrektorem teatru była nasza ukochana pani profesor Romana Próchnicka.

– Do Gdańska, do Teatru Wybrzeże przyjechałaś w 1982.

– Tak i zabiegałam o to razem z Igozem Michalskim, moim mężem prawie dwa lata. To był czas stanu wojennego i w teatrach też działo się źle. W Kaliszu również. Odczodziła dyrektor Romana Próchnicka. No i my też postanowiliśmy nie zostawać i nie czekać na kogoś, kto tam miał przyjść. A w Wybrzeżu był tata Igora i Igor bardzo tęsknił do tego teatru. Bardzo. To było jego marzenie, żeby zagrać na tych deskach przy ojcu. Tak więc angażował nas do teatru dyrektor Teatru Wybrzeże Stanisław Michalski. A bezpośrednim sprawcą mego przyjęcia do Wybrzeża, co powtarzam i o czym zawsze będę pamiętać, był Krzysztof Ba-

bicki. Zналиśmy się z Krakowa i on widział mnie na scenie. I to jego opinia przeważała, że zostałam zaangażowana. Igora tutaj znali, a ja byłam ta doczepiona. Dzisiaj Krzysztof Babicki jest dyrektorem artystycznym Teatru Miejskiego im. Gombrowicza w Gdyni.

– Który z reżyserów był dla Ciebie ważny?

– Pierwszym, takim otwierającym mnie na prawdziwy świat teatru, był Tadeusz Minc. On pierwszy powiedział mi parę gorzkich słów o mnie samej, parę rzeczy otworzył mi w głowie. Bardzo ważny był też Krzysiek Babicki, bo on mi dawał bardzo



ważne role, o których tylko można marzyć. Do niektórych nie dorastałam, ale trzeba się było z tym zmierzyć. Też bardzo ważnym doświadczeniem była praca z Krzysztofem Nazarem. Tych doświadczeń było już sporo, ale ciągle jeszcze czekam na niektóre role. A ostatnio ważnymi reżyserami, z którymi fantastycznie pracowało mi się w Teatrze Wybrzeże byli Anna Augustynowicz czy Grzesiek Wiśniewski. Z panią Augustynowicz otwierałam w sobie nową przestrzeń teatralną. Wiśniewski to inna estetyka teatralna. I ja muszę zapomnieć o swoich nawykach z poprzednich ról, o własnych upodobaniach i wchodzić w światy przez nich aranżowane. Adam Nalepa to też super doświadczenie i całkiem nowy teatr. To fantastyczne, że oni wszyscy są tutaj w Gdańsku i że ja mogę z nimi pracować.

– I w Teatrze Wybrzeże naliczono Ci 75 artystycznych wcieleń na niezwyklej wystawie fotogramów. Dorota Kolak dośownie mieni się wielością i różnorodnością zagranych ról.

– Ja sobie naliczyłam ponad setkę, bo dochodzą role spoza Teatru Wybrzeże i w Teatrze Telewizji też.

– Nie próżnowałaś w teatrze.

– Nie. Dobrze wybrałam zawód, on mnie nie zawiódł, ani ja nie zawiódłam mojego umiłowanego zawodu. To bardzo ważne. Bo jest wiele osób, które wybierają ten za-

wód z taką miłością jak moja, a ten zawód im się nie odpłaca tym samym. A jeśli chodzi o pracowitość, to ją zaczęłam ćwiczyć już w szkole teatralnej. Powiedziano nam nieomal na początku, że jesteśmy niezdolnym rocznikiem, więc musieliśmy naprawdę ostro walczyć o siebie. I to mi zostało. Anna Polony stale mi powtarzała, że przy moich warunkach nie będzie mi lekko. Potem w Teatrze Wybrzeże musiałam w dwójnasób pracować, żeby udowodnić, że zasłużyłam na pracę w tym zespole, że nie zostałam tutaj wzięta z łaski jako synowa dyrektora.

A teraz muszę pracować potrójnie, żeby udowodnić, że te wszystkie miłe rzeczy, które mnie spotykają, nie są przypadkowe. Ciągłe ta robota za mną idzie.

– Czy wszystkie swoje role akceptujesz?

– To trudne pytanie, bo... muszę grać. Wyrażam więc zgodę na swoje role. A moja trema nie maleje z czasem. Potrafi mnie ni z tego ni z owego dopaść paralizująca trema na czwartym przedstawieniu. Trzeba nauczyć się z tym żyć. A tak przy okazji powiem, że nie lubię w teatrze ukłonów premierowych i premiera to nie jest mój ulubiony spektakl.

– Twoja córka Katarzyna dołączyła w tym sezonie do zespołu Teatru Wybrzeże. A mąż Igor Michalski jest od kilku lat dyrektorem Teatru im. Bogusławskiego w Kaliszu.

– Prawda. Każdy pracuje na siebie, na swoją artystyczną kartę. Z Kasią mam taki układ, że dopóki nie zostaną poproszona o cokolwiek, to się kompletnie nie wtrącam w to, co robi na scenie. Ona też musi udowodnić, że na to miejsce w tym zespole zasłużyła.

– A jak znosisz rozłąkę z Igozem?

– Średnio, żeby nie powiedzieć źle.

– Nie zachwylił Cię powiew wolności?

– No może na początku, ale pamiętaj, że to już trwa siedem lat. Igor bardzo lubi swój teatr i zespół, więc ta rozłąka się przedłuża. Nie jest lekko...

– A poza teatrem pracujesz też w Akademii Muzycznej w Gdańsku, zrobiłaś doktorat i pracujesz jako adiunkt ze studentami wydziału wokalnno – aktorskiego.

– Tak i to moja też wielka radość i szczęście. Lubię uczyć młodych, zdolnych ludzi. Uczę od 32 lat, sama się dziwię, bo zaczęłam uczyć animatorów kultury, kiedy jeszcze sama niewiele umiałam. Teraz uczę przyszłych artystów sceny muzycznej. To wielka satysfakcja, jeśli przy mnie rodzi się nowa aktorsko-wokalna osobowość. To mi daje ogromną radość.

– Dziękuję za rozmowę i gratuluję wielu nagród i wyróżnień. Niech ta dobra passa trwa.

ALINA KIETRYS
GDAŃSK



Piszę, więc jestem...

teksty polonistów, studentów, absolwentów
i gości – wykładowców Uniwersytetu
Amsterdamskiego (10).



ELŻBIETA NIEMCZUK-WEISS

Drodzy Państwo,

Mimo, iż tegoroczna wiosna zmierza ku latu, nadal z nadzieją wyglądamy ciepłych dni, by cieszyć się naturą i słońcem, by częściej wychodzić na ulicę i z refleksją spoglądać na otaczający nas świat.

Takie refleksje są tematem cyklu wierszy prof. Józefa Bujnowskiego, niezjącego już badacza literatury i poety, wykładowcy na PUNO – Polskim Uniwersytecie na Uchodźstwie, które powstawały podczas ośmioletniej pracy Profesora na amsterdamskiej slawistyce w latach 1970 – 1978. Wiersze te pod wspólnym tytułem *Amsterdamskie przystanki* drukowały później londyńskie *Wiadomości* (nr 1760/1761, 23th-30th, December 1979).

O Autorze napisałam więcej w poprzednim numerze SP. Tam też przysiedliśmy na chwilę na *Przystanku wiedzy o literaturze*. W czerwcowym numerze *Kwartalnika* pragnę zaprosić Państwa na spacer po Amsterdamie i zatrzymać się wraz z Józefem Bujnowskim na innych przystankach, gdzie zadzwięczy dzwonek tramwaju, jak we śnie pojawi się sylwetka jednego z autobusów i śpiewnie owionie nas tren sukni pasażerki roweru. Na zakończenie staniemy przed oknem – sceną miniteatru, tak charakterystycznego dla tego miasta, gdzie ku naszemu zaskoczeniu opadnie firanka – kurtyna.

Zachęcam Państwa do tego, by przysiąść na kolejnych *przystankach*.

Elżbieta Niemczuk-Weiss

Zdjęcie towarzyszące przedstawia prof. Józefa Bujnowskiego (z prawej) z Tadeuszem Różewiczem. Pochodzi ono ze zbiorów pani Elżbiety Meiiknecht-Proń.



(1)

Przystanki tramwajowe

*Dzisiaj oddajmy cześć amsterdamskiej
tramwajowej komunikacji
w każdym mieście krążą autobusy
i są autobusowe przystanki
w niektórych miastach są tramwajowe
kolejki
i tramwajowe przystanki*

*ale nie znajdziesz nigdzie w świecie
takiej tramwajowej komunikacji
jak w Amsterdamie*

*tutaj
widziałem na własne oczy
wzdłuż żelaznych tramwajowych szyn
jadą*

SNY

*tram tram tram
nagły zgrzyt
i stop*

TRA(u)M HALTE

*przystanek
snów*

(2)

Przystanki autobusowe

*Tak samo jak na liniach tramwajowych
nieprawdopodobne są wydarzenia
na liniach autobusowych
w Amsterdamie*

przystanek

*podnosisz głowę
gdzie tablica i napis*

BUSHALTE

*aż tu
nagle*

*w czarnym wiedeńskim meloniku
wysiada z autobusu
Herr Doctor Siegmund Freud
unosząc za sobą*

TRAUM

DEUTUNG

(3)

Przystanki rowerowe

*Transport naziemny
Odbyna się w Amsterdamie
za dnia i w nocy
także*

*przy pomocy
rowerów*

*posłuchaj
jak płyną z szelestem
fiets fiets fiets*

są też rowerowe przystanki

FIETSHALTE

nagle
rower przystaje

baletnica
odbiwszy się koniuszkami stóp od jezdni
spada wprost na bagażnik
nie naruszając równowagi

fiets fiets fiets

czasem baletnik
fiets fiets fiets
siedzi sobie potem tak boczkciem
i zajada lody patykiem
gdy partner pedałuje
jak nigdy nic

jeszcze powiewa tren sukni pasażerki
albo dynda nogawica džinsów
nie do wiary

przeżegnasz się rękami obiema
a oni fiets fiets fiets
i już ich nie ma

(4) **Przystanki dla pieszych**

Komunikacja w Amsterdamie
odbywa się także
na nogach

są więc także przystanki
dla pieszych

STOPHALTE

przystanki dla pieszych
snów

idą sobie
i przystają
czasem kuleją

są zazwyczaj w przebraniu
w karnawałowych
maskach

nie bądź naiwny
nie daj się nabrać
nie czytaj napisów dosłownie
w Amsterdamie

to wcale nie są busy ani tramwaje
tylko
TRAUMY

a owe tramhalte i bushalte
zapisuje w notatniku
i znika
karnawałowy
buchalter

(5) **Jeszcze pewne przystanki**

Są w Amsterdamie jeszcze przystanki

POD OKNAMAMI

okna są do nabycia
na krótki okres czasu

przystają tam przechodnie
požadający piękna
z którym można przez godzinę
obcować

zapadają wtedy firanki
i robi się smutno

ale po pewnym czasie
podnoszą się znowu
i otwierają się widoki
dla innych

w czerwieni światel

przystanki
POD OKNAMAMI

Litwa przewodniczy pracom UE

„Wiarygodność, wzrost gospodarczy i otwartość” to priorytety Litwy na okres jej półrocznej prezydencji w UE, która rozpoczęła się 1 lipca. Teraz, gdy krajowi przywódcy osiągnęli porozumienie w sprawie budżetu na lata 2014-2020, łatwiej będzie osiągnąć postępy w realizacji tych celów.



Litwa zobowiązała się, że będzie przewodniczyć pracom UE jako „bezsronny pośrednik”. Wiele przyszłych decyzji będzie służyć wspieraniu Europy w wychodzeniu z obecnego zastoju gospodarczego.

Litwa jako jeden z tych europejskich krajów, które najskuteczniej radzą sobie z kryzysem, jest prawdopodobnie szczególnie predestynowana do tego, by pomóc UE w powrocie na ścieżkę wzrostu gospodarczego. Po gwałtownym pogorszeniu się sytuacji w 2009 r., kiedy PKB Litwy spadło o prawie 15 proc., do 2010 r. nastąpiła poprawa. Zgodnie z oczekiwaniami w 2013 r. Litwa powinna należeć do najlepiej funkcjonujących gospodarek UE.

Plany Litwy na najbliższe sześć miesięcy zostały zwięźle ujęte w hasło: „wiarygodna, rozwijająca się i otwarta Europa”.

Życzenia od Sceny Polskiej

Składamy Panu Ambasadorowi podziękowanie za zaproszenie na uroczystość przejęcia przewodnictwa w Unii Europejskiej, które odbyło się 4 lipca w Hadze oraz życzymy sukcesów w realizacji zaszczytnych planów.

Scena Polska od lat współpracuje z Litewskim Centrum Kultury w Holandii, a Ambasador Republiki Litewskiej w Holandii, Pan Dariusz Semaška był naszym Gościem, wraz z rodziną, na V Polskiej Wiośnie Filmowej. Mamy nadzieję, na jeszcze bliższą współpracę.

Życzymy sukcesów
z poważaniem

Zofia Schrotten-Czerniejewicz
prezes Stichting Pools Podium



MAREK GRĄDZKI

Wreszcie pogoda poszła w dobrą stronę, co prawda nie wszędzie, ale na naszej wsi tak. Świeci słońce, ptaszki śpiewają, pszczoły dały pierwszy w tym roku miód, tak więc i żyć się chce. W polityce Panie, jak to w polityce; oni, by te wieprze, kochają się w błotku taplać, a obrzucać się nim wzajem. Zawsze coś przyłgnie. Jednak jest coś, co budzi mój niepokój. Wyłażą na wierzch demony, które pod płaszczykiem dwubarwnym z orłem na piersi do wojny nawołują. Kto nie Polak i to do wielu pokoleń wstecz, ten wróg do wycięcia. Kołują młódz naszą, co to i tak za wiele jej nie mamy. Rządzący nie potrafią

młodych zagospodarować, przyszłości im pokazać, to i takie zgniłki cherlawą pierś natężając, Zawiszę Czarnego podśladować wabią ich pod swoje chorągiewki. Liczę jeno na to, że rodak nasz łatwo na te plewy nabrać się nie da, bo skrajności nie lubi, lecz co młodzi we łbach namacają to namacają. Nic to, przeżyliśmy socjalizm, przeżyjemy i tych Dutków. By życie Wam nieco osłodzić proponuję wynalazek Mojego Szczęścia. Najlepsi kucharze go zaakceptowali! Wzięła mój serek kozi, świeży, skroila go w plasterki niecałego centymetra grubości, skropiła leciuchno oliwą truflową, ta intensywna jest w smaku, więc uważać trzeba, na to dała naszej konfitury z sycylijskich pomarańczy z imbirem na nierafinowanym cukrze trzcinowym, całość zaś obłożyła słodkim, żółtym melonem. Ludkowie rostomili, przyjaźniostwo co do nas regularnie na brydzyka zjeżdża malunki z porcelany chciało wylizać, tak im podeszło. Kolejny raz się pokazało, że największa wykwinność tkwi w prostocie. Nie potrzeba nic kombinować, uduziwniać, trzeba tylko w umiejętny spo-

sób smaki połączyć. Z naszej kochanej wsi Was pozdrawiam, przede mną pracy huk, bo przecie teraz sianokosy, potem przyjdą żniwa. Wam jednak milego wypoczynku życzę, letniej pogody, słońeczka i tylko krótkich, ciepłych ulew, które też się należą by spiekotę złagodzić.

Z wyrazami szacunku zostają

MG www.ziemianinwkuchni.blox.pl



Zatrzymana chwila

AGNIESZKA STEUR

Jest takie jedno zdjęcie. Tak stare, że prawie samo siebie zapomniało. Już nawet nie jest czarno-białe, ponieważ tak wyblakłe. Teraz naśladuje trochę zawstydzoną sepię. Na niewielkim prostokącie papieru zapisana historia. Dla świata wcale nie jest ważna, tylko dla mnie. A może taka jest właśnie najważniejsza, bo ma wyraźną twarz i nie spisują jej w książkach. Liczba pojedyncza zawsze jest bardziej czytelna, niż mnoga. Może ważniejsza, bo namacalna w równych rzędach cegłówek, a nie w monumentach na skwerach omijanych bez uniesionych spojrzeń.

Na zdjęciu niewiele się dzieje. Jest tam dom murowany, ze spadzistym dachem, i okno, i płot, a wszystko pełne nieopowiedzianych historii. Ściany w jakiś szalony sposób przypominają ciasto, może dlatego, że zmienia się z czasem i kolejne pokolenia pozwalają mu rosnąć.

Trochę bliżej dostrzegam drogę, wiem dokąd prowadzi, cel nie zmienił się na przestrzeni lat. Całkiem blisko, na skraju papieru wyraźnie widzę mężczyznę. Siedzi na rowerze. Zatrzymał się, lecz jest gotów do dalszej drogi. Pochwycił chwilę na wiele lat utrwalo-



ny w papierze. Ramka ogranicza wspomnienia, przecież poza nią tak wiele przeminęło. On pozostał i trwa, mimo że skóra fotografii też pokryła się zmarszczkami. Pęknięcia czy zmarszczki, przypominają mijające chwile.

Mężczyzna jest moją przeszłością, gdy mnie jeszcze nie było, był on, dlatego teraz jestem ja. Nie patrzy na mnie, spuszczone wzrok koncentruje na drodze. Koła za chwile ruszą, tylko fotograf skończy pracę.

Rozświetlone włosy rozwieje wiatr. Lekko rozchylone usta dokończą zdanie wypowiedziane osiemdziesiąt lat temu.

Pytam tatę, czy wie, dokąd zmierza dziadek na tej fotografii. Mnie wtedy nie było jeszcze na świecie odpowiada, ale możejechał do sklepu lub pracy. Oczami wyobraźni pozwalam ruszyć rowerowi. Młody mężczyzna otrząsa ramiona z ciężaru światłoczułego papieru. Podąża do pracy, ale co tam robił? Dobrze, a zatem do sklepu, niech kupi chleb, herbatę i takie cukierki, których już dziś nie można kupić. Potem wróci do domu tą samą drogą, ale fotografa już tam nie będzie i już tej chwili nie zachowa dla mnie.

Co lubił robić, czy czytał książki, jaka była jego ulubiona potrawa, czy śpiewał? Czy wierzył w marzenia i czy mu się spełniały? Co go bolało, czy był okrutny, a może kochał bez pamięci? Tak blisko, a tak bardzo nie wiem. Fotografia coś przypomina, choć wszystko już się zmieniło.

Dom stoi tam, gdzie stał i nadal mieszka w nim ciepło, ale nie ma już ani tego płotu, ani roweru, ani mężczyzny. Kolejne pokolenia tworzą nowe opowieści. A dziadek patrząc na drogę przed siebie w mej wyraźni widzi właśnie to, co dziś się dzieje.

AS

FUNDACJA „hOlendry” – narodziny



Fundacja „hOlendry” rozpoczęła działalność w Polsce w czerwcu 2013 roku z inicjatywy działaczy niderlandzkiego stowarzyszenia Pools Podium i uczestników letnich działań w Nowej Róży, przede wszystkim Sceny Młodych.

Celem fundacji jest promocja kultury niderlandzkiej w Polsce oraz działalność oświatowa, rekreacyjno-zdrowotna, sportowa i kulturalna w zakresie rozwoju, wspierania i promocji zdrowego trybu życia.

Od maja do października prowadzimy działalność w letniej siedzibie pod Nowym Tomysłem. Organizujemy własny program, m.in warsztaty artystyczne (filmowe, fotograficzne, plastyczne, itd) spotkania miłośników podróży oraz zajęcia terapeutyczne i sportowe.

Przyjmujemy również grupy z własnym programem, np. yoga na świeżym powietrzu, plenery artystyczne, warsztaty, zajęcia dla dzieci i młodzieży.

Obiekt jest przyjazny osobom niepełnosprawnym i bezpieczny dla dzieci. Na miejscu: salka gimnastyczna, kino letnie, miejsce na ognisko i zielony teren rekreacyjny. Idealnie warunki pobytowe dla małych grup ceniących uroki natury.

Fundacja „hOlendry”

Nowa Róża 2, 64-300, Nowy Tomyśl
Tel: +48 61 44 115 22
Kom. +48 603 801 725
Mail. nowaroz2@gmail.com
www.facebook.com/HolendryNowaRoz
www.nowaroz2.blogspot.com

Jesteśmy otwarci na współpracę z innymi organizacjami oraz z grupami nieformalnymi. Prosimy o kontakt mailowy: nowaroz2@gmail.com lub telefoniczne +48 61 44 115 22.

Natalia Schroten
Prezes Fundacji „hOlendry”



15
maj

Początek sezonu – „Zimna Zośka”

Po Polskiej Wiosnie Filmowej w Holandii, która była ostatnią przed wakacjami imprezą zorganizowaną przez Pools Podium, rozpoczęliśmy kolejny sezon wiosenno-letni w naszej siedzibie w Polsce. Mieliśmy szczęście, bo „Zimna Zośka” okazała się wyjątkowo ciepła.

Wszystkim uczestnikom spotkania dziękujemy i zapraszamy na ciepłe lato!



29
czerwiec

Inauguracja Fundacji „hOlendry”

W czerwcu swoją działalność rozpoczęła w Polsce Fundacja „hOlendry”. Wstęgę przeciął Burmistrz Nowego Tomysła pan Henryk Helwing. Właściwie, to określona w statucie działalność, trwa już nieformalnie od dawna. Kilka lat temu



Lato ze Sce

Nowa Róż

Scena Młodych uczestniczyła w nakręceniu tutaj filmu „Śladami Olendrów” oraz przygotowała materiał fotograficzno-filmowy o starych, ewangelickich cmentarzach. Tradycyjnie już spotykają się w tym leśnym zakątku grupy i osoby, dla których ważna jest ekologia i zdrowy tryb życia. Fundacja pozwoli nam lepiej organizować te spotkania i rozwijać nowe tematy.

Liczymy na współpracę miejscowych i międzynarodowych organizacji.

5

lipiec

–

7

lipiec

Stowarzyszenie „Jeden Świat”

W piątek odbyło się uroczyste ognisko dla grupy wolontariuszy z kraju i ze Świata. To właśnie dla tych ostatnich, wracających do swoich krajów, po 10-miesięcznym pobycie w Polsce, zjechali do Nowej Róży przyjaciele, koledzy z pracy, członkowie i pracownicy Stowarzyszenia, aby podziękować im za pracę i wkład w szerzenie idei porozumienia między narodami. Wspaniała letnia pogoda, dobry nastrój i przyjacielska atmosfera sprawiły wrażenie, że to nie pożegnanie, ale krótkie rozstanie. Zresztą Wolontariusze wrócą tutaj



na studia i do pracy na uczelniach. A więc do zobaczenia!

A w weekend odbyły się warsztaty „Żywa filmoteka” przygotowane przez Stowarzyszenie „Jeden Świat”. I znów, piękna pogoda i cudowne okolice sprawiły, że uczestnicy chętnie pracowali z kamerą i potem wspólnie podziwiali efekty filmowych zmagani.

23
lipiec

Spotkanie Miłośników Podróży

We współpracy z Miejską i Powiatową Biblioteką Publiczną w Nowym Tomyslu odbędzie się spotkanie na temat podróży do Azji. O swoich przygodach opowiedzą Natalia i Zofia. Na ekranie

na Polską

za 2013



pojawiają się zdjęcia i filmy z podróży po 5 krajach. Słodki poczęstunek pod lipą i orzeźwiająca woda ze studni głębinowej z pewnością uświadomią miłośnikom podróży, że trzeba docenić to, iż jesteśmy szczęśliwymi mieszkańcami klimatycznej strefy umiarkowanej. A że czasami pada deszcz w wakacje... pociesmy się, po burzy zawsze jest słońce.

28
lipiec

–

4
sierpień

Warsztaty filmowo-fotograficzne „Podobieństwo różnic”

Tradycyjnie od 11 lat na przełomie lipca i sierpnia zbiera się w Nowej Róży pod Poznaniem grupa młodych ludzi z Holandii zapraszająca przy-



jaciół z Polski i innych krajów do wspólnego spędzenia czasu. Program powstaje na miejscu, aby zaspokoić oczekiwania każdego uczestnika. W powstającej na miejscu ekipie filmowej potrzebny jest każdy: aktor, kamerzysta, montażysta, rysownik, dekorator, scenarzysta, kierowca, wizażysta, fotograf itd. Od zeszłego roku również odbywają się równolegle warsztaty fotograficzne, podczas których można nauczyć się podstaw fotografii oraz rozszerzyć swoje dotychczasowe umiejętności. Miejsce: w środku lasu, ale blisko do miasta, jeziora, basenu, i innych atrakcji o wieczorne ogniska sprzyjają integracji całej grupy! Zgłoszenia/pytania: nowaroza2@gmail.com

31
sierpień

„Las bliżej nas”

Na tradycyjne, coroczne plenerowe spotkanie w Nowej Róży, zjadą chorzy na stwardnienie rozsiane wraz z opiekunami i wolontariuszami, aby wspólnie pokonywać „bariery” w lesie. Organizatorem wyjazdu jest Polskie Towarzystwo Stwardnienia Rozsianego. We współpracy z Nadleśnictwem Grodzisk Wielkopolski, Fundacją „hOlendry” i Stowarzyszeniem „Jeden Świat” chcemy pokazać, że niesprawność fizyczna



nie stanowi bariery, aby być bliżej lasu i korzystać z jego uroku. Jeśli są chętni z powiatu nowotomyskiego i bliższych oraz dalszych okolic, których dotknęła ta choroba to prosimy o kontakt. Razem łatwiej pokonamy bariery.

Zapraszamy na nasz program. Prosimy kontaktować się z nami mailem: nowaroza2@gmail.com lub telefonicznie +48 61 4411522

Zofia Schrotten-Czerniejewicz
Pools Podium / „hOlendry”

Dysczłowiek



JERZY SKOCZYLAS

Dobrze jest czuć się dobrze, a jeszcze lepiej czuć się lepiej.

I ja tak właśnie się czuję. Czuję się świetnie, ach jak przyjemnie! Czuję się wspaniale!

Muszę się jednak państwu do czegoś przyznać. Jakiś czas temu miałem w tej kwestii pewne wątpliwości. Były momenty, iż myślałem, że nie jestem aż tak doskonały, jak wyglądam, a zwłaszcza, jak się czuję. Na szczęście sztab fachowców pozwolił mi rozwiać moje obawy.

Pierwszy niepokój pojawił się u mnie gdy czytając jakiś tekst miałem trudności ze rozumieniem odczytywanych zwrotów. Czytałem, czytałem i niestety nie rozumiałem. Starcza demencja? – pomyślałem sobie. Pobiegłem do lekarza i co się okazało? Nic z tych rzeczy, wszystko w porządku. Lekarz stwierdził, że po prostu mam dysleksję.

Chciałem sobie zapisać to, co mam, żeby nie zapomnieć. Wziąłem zeszyt, pióro i co? I nic, ni w ząb. Za diabła nie umiałem tej dysleksji zanotować.

Czy ja już całkiem zdurniałem? – przemknęło mi przez głowę.

Nie umiem pisać? Wróciłem do doktora. Nawet mnie nie badał. Głowa do góry – powiedział, wszystko gra, ma pan zwyczajną dysgrafię.

Kamień z serca.

Postanowiłem to uczcić. W pobliskim bankomacie usiłowałem podjąć trochę kasy, ale bezskutecznie. Co jest? Czyżby debet? Niemożliwe, przecież niedawno zasilam konto. Po interwencji w banku sprawa się wyjaśniła.

Z kontem wszystko było ok. To ja miałem dyskonto.

Na szczęście zawsze trzymam w domu trochę gotówki, więc było za co czcić.

Czciliśmy dzień, dwa, trzy dni, potem zrobił się z tego tydzień, następnie miesiąc, a ja czciliśmy dalej... O nie, pomyślałem sobie, to już alkoholizm, trzeba się z tego

jakoś wyrwać. Ostatkiem sił zawlokłem się do przychodni, i co? Żaden alkoholizm, guzik prawda. Miałem dysabstynencję.

Pławiąc się dalej w tym błogostanie zaprosiłem pewną Beatę. Będąc z natury romantykiem postanowiłem jej coś zagrać na akordeonie. Tu wtrącając, że jeżeli idzie o akordeon byłem mistrzem. Chciałem zagrać, ale ni w ząb, nie umiałem. Co jest? Przecież zawsze byłem w tym świetny.

Nawet nie biegłem do specjalisty. Beata sama postawiła mi diagnozę, miałem dysharmonię.

Zatem romantyzm odłożyliśmy ad akta i przystąpiliśmy do rzeczy. To znaczy usiłowałem przystąpić do rzeczy, ale za diabła nie umiałem wykoncypować w jakiej to zrobić pozycji. W żadnej pozycji mi nie pasowało. Ani ta pozycja, ani tamta... Beta obrażona poszła do domu, a ja do seksuologa. Okazało się, że jestem zdrowy ogier, ale mam dyspozycję.

Wreszcie wytrzeźwiałem i spojrzałem w lustro. Widok był przerażający. Zapuściłem się strasznie. Worki pod oczami to nic, ten największy z przodu był okropny. Boże, ale się upasłem. Sylwetkę miałem tragiczną. Kompletnie straciłem proporcje. Wizyta u dietetyka rozwiązała moje niepokoje. Proporcje miałem prawidłowe, miałem tylko dysproporcję.

Mój szef, który nigdy za mną nie przepadał, próbował mnie wylać z roboty pod pretekstem braku kwalifikacji. Na próbach się skończyło. Kwalifikacji na moje stanowisko może i faktycznie nie posiadałem, ale przyniosłem mu z kliniki zaświadczenie, że może mi skoczyć, bo cierpię na dyskwalifikację.

Kombinowałem jeszcze żeby się doksztacił i w związku z tym usiłował wypchnąć mnie na jakiś kurs. Bezskutecznie. Lekarze stwierdzili bowiem, że mam dyskurs.

Po co ja o tym wszystkim państwu mówię?

Po to, że możecie kiedyś spotkać na swojej drodze zapijaczzonego osobnika, który nie umie czytać, pisać, rozmnażać się, który nie ma żadnych zdolności, umiejętności i kwalifikacji.

Nie odwracajcie się od niego. Pochylcie przed nim czoło.

To pełnoprawny obywatel Unii Europejskiej.

On ma tylko dysleksję, dysgrafię, dyskonto, dysproporcję, dyskurs, dysabstynencję i dyskwalifikację.

To nie jest żaden głąb, matoł, impotent i abnegat.

On jest pełnosprawny ... tylko odpowiednio zdiagnozowany.

I nie próbujecie go krytykować, bo zostaniecie skazani prawomocnym wyrokiem unijnego trybunału za dyskryminację.

I będziecie mieli dyskomfort.

A ja i do mnie podobni będziemy się dalej czuli po prostu wspaniale!

JS



Jarek

CUD

*Jest coś słoneczniejszego
ponad samo słońce,
gdy radością przepętnia
roześmiany świat,
coś śpiewniejszego – ponad
ptaki śpiewające,
coś bardziej kwicistego – niż kwiat...
Jest coś promienniejszego
od samych promieni,
bardziej rajskiego – nad raj.
Coś czystsze od leśnych,
srebrnych strumieni
i bardziej wiosennego – niż maj.
Jest coś niewinniejszego
nad aniołów białość
i coś poranniejszego nad
różany wschód...
Coś, co ma dziwną wielkość,
właśnie przez swą małość:
„Dziecko” się zowie ten cud.*

(Julian Ejsmond)

*Magdzie Wnuk i Jorre van der Heijden
Szczęśliwym Rodzicom matego Jarka*

*Zdrowia i Radości
życzą*

*Zosia i Fokko z Natalią,
Nicolasem i Heleną*

Fragmenty książki „Dwa słowa”



ALEK SILBER

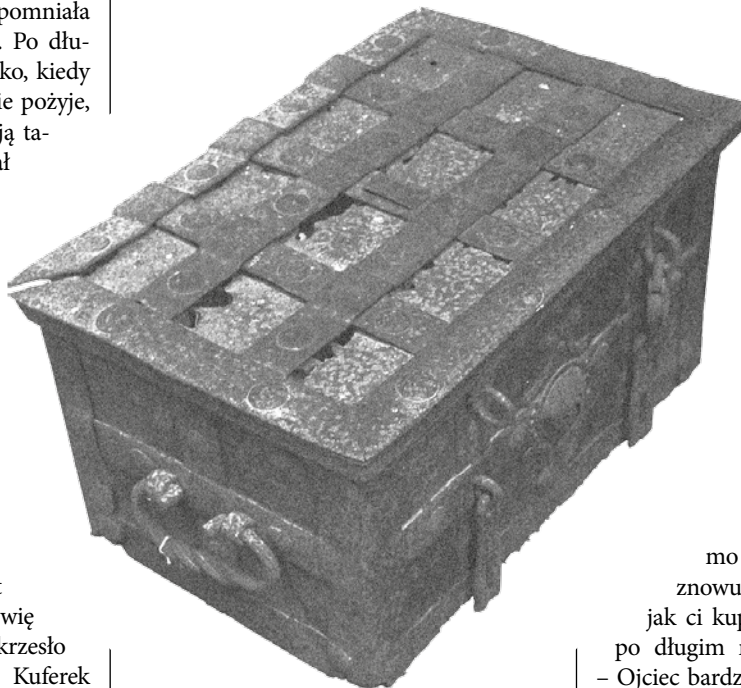
Dziadek

Piszę przy wątłym świetle lampki naftowej. Jest ciepła, bezchmurna noc. Nigdy nie widziałem tak wielu gwiazd, cały wszechświat wokół mnie. Tak bajecznie, gdyby nie tak fatalnie. Nagle zrobiło mi się żal tego, co było i co być mogło, przypomniała mi się opowieść mojego dziadka. Po długiej rozłące spotkałem go na krótko, kiedy był już starcem. Czuł, że długo nie pożyje, pragnął podzielić się ze mną swoją tajemnicą, o której nikt nie wiedział – nie chciał jej zabierać ze sobą do grobu. Siedliśmy w kawiarni pod parasolem, nad samym brzegiem morza. Na wodzie kołysały się kolorowe łódki. Niefrasobliwe mewy podchodziły do samych stolików. Rzuciłem im kawałek ciastka, na które skoczyły z krzykiem.

Dziadek kręcił się na krześle, brał do ręki filiżankę, to znów ją odstawiał, popijał, mamrotał coś pod nosem, wreszcie zaczął. – Wiesz, mam taki kuferek. Od lat leży gdzieś na strychu, co ja mówię od lat, całe życie. – Przesunął krzesło w cień i ciągnął swą opowieść. Kuferek pokryła gruba warstwa kurzu, a jego zardzewiała zamek zgrzyta przy otwieraniu. Dziadek rzadko zaglądał do środka, często mijały lata, kiedy wręcz zapominał o jego istnieniu. Życie gnało swoimi problemami, codzienne troski i proza życia nie pozwalały na luksus otwierania kufereka. Istniał, a jakby go nie było. Tylko czasami jakaś bezsenna noc, refren zagubionej piosenki, czyjś nieświadomy gest albo twarz w tłumie powodowały, że kuferek otwierał się zniecka! Znikał kurz, zamek rozwierał się bez klucza i pokrywa odsłaniała z trzaskiem, ukazując jego wnętrze. – To, co było w środku, cała jego zawartość – dziadek usiłował opanować drżenie głosu – to wszystko... – Dopiero kiedy się uspokoił, podjął temat. Mówił z wysiłkiem, z trudem dobierając

słowa. Przerzywał, jękał się, to znów zaczynał od początku.

W kufereku kryły się duchowe relikwia (tak to nazwał), gdzieś tam istniejący świat, który przez całe życie był dla dziadka nieosiągalną nirwaną, świat bogaty w doznania, piękno i ludzi, może nie doskonałych, ale wspaniałych. Stojąc na uboczu dziadek patrzył na ten świat jakby przez grubą szybę, z zachwytem i z żalem, momentami aż do bólu. Dla tych za szybko ich życie było normalne, oczywiste. Pewnie doceniali jego uroki, ale żeby aż tak? Syty głodnemu... Dziadek widział tam siebie szczęśliwym, czuł że jego życie nabrałoby sensu. To był świat intensywny, twórczy, świat nocnych rozmów z przyjaciółmi pośród dymu papierosów i oparów alkoholu. To były znaczące słowa i przyjazne spory, ale przede wszyst-



kim miejsce to uwielbiane było przez muzy. Często tu zaglądały szcudrze rozsypując swoje dary. Wiedziały, że ich wybrańcy żyją na wyjątkowym czochranie i że dary te zrodzą niezwykle owoce. W świecie tym każdy dzień, niczym dla innych rok, deklarował się nowym doznaniem, przygodą, chociażby błahą. Tu nie trzeba było kurczowo czepiać się lotnej chwili, bo ciągle przychodziły nowe. Tu deszczowy dzień można było przeleżeć w łóżku, wiedząc że jutro zaświeci słońce. Tu tętniło życie w całej swej świetności.

Dziadek nie miał złudzeń, wiedział, że tamci też przeżywali swoje nieszczęścia, tragedie, ale inaczej, szukał odpowiednich słów – może być smutek z piosenką, po-

śród bliskich, ale jest też smutek samotny, beznadziejny, rozpaczliwy. Młody jesteś, nie pojmiesz. Nie wiem, czy w ogóle to, co mówię, ma dla ciebie jakiś sens. Nie potrafię tego wysławić, choć bardzo bym chciał. Zagłądanie do kufereka to ogromna radość i zarazem wielki ból, czym większa radość, tym większy ból. Czy to rozumiesz? Powiem ci jeszcze jedną rzecz – dziadek rozejrzał się dookoła, przysunął się bliżej i zniżył głos do szeptu – kuferek posiada jeszcze drugie dno, o którym nie wie nikt.

W czasie opowiadania twarz dziadka ożyła niespodziewanym blaskiem, zniknęły zmarszczki, pociemniały siwe włosy. Gesty nabrały młodzieńczej dynamiki, odmłodził głos. Widać było, że już samo mówienie o tym sprawiało mu ogromną radość i mimowolną uludę bycia w tamtym świecie.

Chwila ta musiała być dla niego niezwykłym przeżyciem, po raz pierwszy mógł się z kimś podzielić swoim kuferekiem; niezręcznie, nieudolnie, ale chociaż troszeczkę uchylić zakurzone wieczko. Jednak radość dziadka ocierała się o lzy, przez całe życie tamten świat biegł równoległym torem z prozaiczną egzystencją dziadka i dwie ścieżki nigdy się nie spotkały. – Teraz jest już za późno – zakończył – zmarnowałem życie.

Dziadek siedział nieruchomo wpatrując się w róg stołu, znów wyglądał staro. – Pamiętasz, jak ci kupiłem szczeniaka? – Zapytał po długim milczeniu. Skinąłem głową. – Ojciec bardzo się złościł, już nie chodziło mu o tego psa, ale o to, że cię rozpieszczę. Nie musiał mi tego mówić, doskonale zdawałem sobie z tego sprawę, dzisiaj jesteś dorosły, mogę ci to powiedzieć. Wiedząc, że czeka cię ciernista droga życia, bo każdego czeka mniej lub więcej problemów, chciałem cię niejako nasycić radością w dzieciństwie. Tylko dziecko potrafi cieszyć się bezgranicznie, do końca. I chciałem, żebyś ty, właśnie ty, miał to szczęście.

Słuchałem dziadka z zapartym tchem. Chciałem mu zadać wiele pytań, ale zasłabł i musieliśmy zakończyć rozmowę. Widocznie zbyt wiele emocji nadwyrężyło jego wątłe siły. Zastanawiałem się, czy udało mu się wyposażyć mnie w zapas radości na daleką drogę?

AS
Australia

Lataj z głową



GIENEK BRZEZIŃSKI

Gdyby ta historia zdarzyła się jakiejś starszej, nieco rozkojarzonej pani, albo roztrzepanej nastolatce, nie byłoby w niej, być może, niczego godnego opisywania. Ale zdarzyła się ona dwóm w miarę wszakże inteligentnym i bystrym dżentelmenom w górnej strefie wieku średniego, w stanie całkowicie wykluczającym stosowanie jakichkolwiek używek, w poniedziałkowy, słoneczny poranek, po całkiem niezłej przespanej nocy. Dlatego warto ją opowiedzieć. Nie tylko przeciwko ku ucieście gawiedzi, ale też ku przestrodze dla innych; że nigdy mianowicie nie wolno zbyt mocno ufać własnej bystrości i że pewne fakty warto jednak dwa razy sprawdzić, zanim mogą one spowodować daleko idące konsekwencje.

Jako się rzekło, był poniedziałkowy poranek, kiedy wraz z moim holenderskim Przyjacielem ruszyliśmy w powrotną drogę z Gdańska do Amsterdamu. Odebrano nas z domu, w którym stacjonowaliśmy i zawieziono pod sam nowy pawilon odlotowy w Gdańsku – Rębiechowie. Właśnie, w Gdańsku. Nie – w Nowym Jorku, nie – w Chicago czy jakimś innym Frankfurcie, gdzie sto terminali i tysiące samolotów. Nie, wydarzyło się to na – jakby na to moim patriotycznym okiem nie patrzeć – prowincjonalnym, małym lotnisku, na którym samolotów jest tyle, ile pociągów na stacji w – czy ja wiem – Kościerzynie (niech mi Lech Wałęsa wybaczy).

I chociaż do chwili naszego odlotu (12:10) były dwie godziny, to tylko dwa – z dwudziestu chyba pięciu – punktów odprawy pasażerów były otwarte. A i one nie załatwiały jeszcze chętnych do Amsterdamu. Poszliśmy więc na ostatnią polską kawę i ostatnie polskie lody. Bardzo pyszne były! A potem już do kolejki, bo nagle, oczywiście!, zrobiła się kolejka.

Składała się ona zresztą głównie z kilkunastu Chińczyków, których mój Przyjaciel wziął w pierwszej chwili, nie wiadomo zupełnie na jakiej podstawie, za... Japończyków.

Nie mogłem uwierzyć memu szczęśliwemu losowi, kiedy elektroniczna waga pokazała przy mojej, wyładowanej głównie książkami, walizce 20,00 kg, czyli dokładnie tyle, ile wolno było mi ze sobą zabrać. Wzięliśmy karty pokładowe i udaliśmy się od razu „na drugą stronę”. Żadnych problemów z podręcznym bagażem, więc ze spadającymi nieco, bo pozbawionymi paska, spodniami przeszliśmy przez straszną bramkę, prowadzeni czujnym wzrokiem przez pana od rewizji osobistych. Ktoś z nas powiedział: „gate dwa”. Ten drugi przytaknął. Poszliśmy. Po drodze były dwa sklepy tak zwane wolnocłowe, w których ptasie mleczko kosztuje 23 złote, a butelka żółdkowej gorzkiej też dwa razy więcej,

głowami komunikat, że „pozostawiony bez opieki bagaż zostanie zniszczony na koszt właściciela”. W dwóch językach.

W którymś momencie mój Przyjaciel stwierdził nieco żałośnie, że chyba nie odlecimy o czasie; była 12:12. Rozejrzałem się nieco nerwowo dookoła; na ekranie nad wejściem na płytę lotniska czarno, nic się nie dzieje, ludzie siedzą spokojnie (sygnał ostrzegawczy numer dwa nie zadziałał również: nie zauważyłem nieobecności „naszych” Chińczyków). Pięć minut później wstałem już nieco zaniepokojony i podszedłem do siedzącej pani najwyraźniej z obsługi lotniska i zapytałem: – Co jest z samolotem do Amsterdamu, jest jakieś opóźnienie? I dlaczego nikt o niczym nie powiadamia?

– A pan do Amsterdamu? – zapytała zdziwiona pani z obsługi lotniska. I słysząc moje potwierdzenie dodała z nietrudno ukrywającym zdumieniem: – To co pan tu robi?!



niż w sklepie. Szliśmy daleko, aż trafiliśmy na kontrolę paszportową (pierwszy sygnał ostrzegawczy, który nie zadziałał). Mój paszport został przez panią ze straży granicznej poddany wyjątkowo wnikliwej wiwisekcji (a przecież jesteśmy w Schengen!) i aż się bałem, że ktoś mi go sfalszował. Ale nie, pozwolono nam przejść do Sali Oczekiwań. Było 35 minut do odlotu, a więc czas był absolutnie idealny. Usiedliśmy na krzesłkach, patrząc na płytę lotniska, pisząc jakieś smsy, śledząc niezbyt uważnie, jak na ekranie telewizora politycy PiS nie pozostawiali suchej nitki na politykach PO. Ale mogło też być odwrotnie. Od czasu do czasu dobiegał nas z głośników nad

– Jak to co, czekam na samolot. – odparłem zgodnie z prawdą, a w serce zaczęła mi się wlewać pewien niepokój.

– Ale przecież tu jest strefa non-Schengen, samolot do Islandii (czy gdzieś tam, równie daleko, poza granice naszej bliskiej, kochanej, ugłaskanej Unii Europejskiej) i pana tu wcale nie powinno być. Jest panów dwóch? – zapytała jeszcze, bardziej zresztą w formie twierdzącej. – Wołają Panów i szukają od co najmniej piętnastu minut.

Rzuciła coś do aparatu, który trzymała w ręce. Odezwały się znane mi skądinąd trzaski i szumy.

– Samolot właśnie zamknięty i zaczyna kołować na pas. – stwierdziła. Może

mi się zdawało, ale usłyszałem jakąś nutkę rozbawienia w jej głosie. Mnie jednak nie było do śmiechu. Musieliśmy być następnego dnia w Holandii, właśnie odlatywał nam – i tak dzięki innym zamieszaniom biletowym – dosyć drogo kosztujący nas samolot, sytuacja była tyleż absurdalna, co – zdawało się – nierzeczywista.

– Ale przecież nas nikt nie wywoływał! – usiłowałem racjonalnie spierać się z panią z obsługi lotniska. – Cały czas wsłuchiwałem się w komunikaty płynące z głośników.

– A bo tu nie słysząc, słysząc tylko na Schengen – odparła pani z obsługi lotniska i nie mogłem jej nie wierzyć.

– Ale my musimy lecieć! Nie da się już tego samolotu zatrzymać!? – wierzyłem w to nie bardzo głęboko, oczywiście, ale przecież „tonący brzytwy się trzyma”, a „nadzieja umiera ostatnia”, żeby błysnąć tu nieco znajomością klasyki.

Przedarliśmy się więc, nie bez przeszkód, pod prąd przechodzących bez pasków i obuwia pasażerów, którzy swoje loty wciąż jeszcze mieli przed sobą. Pani w okienku z odprawą powiedziała, że nas wołała po nazwisku. W okienku naszej linii lotniczej inna pani powiedziała, że nie dostaniemy zwrotu za nasze (drogie) bilety, bo to nasza wina, że nie poleciliśmy. W biurze naszego narodowego przewoźnika bardzo miła pani powiedziała nam, że możemy jeszcze dzisiaj lecieć przez Warszawę i być w Amsterdamie o 21:40. Pod warunkiem uiszczenia kwoty w okolicach... 2300 złotych. Od osoby! Pani w biurze podróży obok znalazła inne odlotowe wyjście; przez Oslo. Za niemal połowę ceny warszawskiej. Podziękowałem więc pani od narodowego przewoźnika (choć trzeba tu uczciwie przyznać, że i ta pani znalazła po pewnym czasie ten sam lot). Była 12:50. Lot do Oslo zaplanowano na 13:30. A my wciąż bez walizek, bo trzeba je było odebrać w punkcie, który okazał się być najbardziej oddalonym od tego, w którym kupujemy bilety. Zostawiam więc Przyjaciela w celu dokończenia transakcji, bo ja, jako – było nie było – „tutejszy”, szybciej znajduję te nasze walizki. Znalazłem panią i pana od zagubionych (a czasem i znalezionych, lub też tylko wystawionych z odlatującego samolotu) bagaży. Ale naszych walizek jeszcze nie ma: – Będą lada chwila – poinformował mnie spokojnym głosem pan od bagaży. O 13:05 dzwoni mój Przyjaciel: – Co z walizkami, bo przecież musimy się jeszcze odprawić?! A bilety kupione „last last minute” nie podlegają zwrotowi.

Po czym przekazał słuchawkę pani z biura podróży: – Proszę się pośpieszyć, bo nie zdążycie!

Wołam więc do telefonu (ale i trochę do pana od bagaży): Ale jak mam się śpieszyć, jak wciąż czekam!?

Pan od bagaży ulitował się, wyszedł z lady i udał się na poszukiwania. Wyszedłem za nim i po chwili już cwałowałem z dwiema walizkami, które na każdym wyboju chodnika wyskakiwały ze swojego toru i stawały w poprzek. Ale biegłem, z końca terminalu przylotów, do terminalu wylotów. Na szczęście pani z biura podróży mnie przyuważyła tak biegnącego (na dworze ze 25 stopni w cieniu, a ja w kurtce!) i otworzyła mi jakieś boczne drzwi. Po chwili (13:10) przysłała pani i otworzyła ponownie, specjalnie dla nas, odprawę. Na szczęście moja walizka wciąż ważyła równo 20 kilogramów.

O 13:16 pędzimy – znowu wzdłuż całej hali – do kontroli osobistej (tamta sprzed półtorej godziny, choć w tym samym składzie i z tym samym sprzętem, już się oczywiście nie liczy). Ale i tym razem nie znajduję u nas niczego niepokojącego, więc wpadamy o 13:25 do samolotu. Chyba nawet nie jesteśmy ostatnimi.

A kiedy już lecieliśmy do tej Norwegii przeszło mi przez myśl, że na filmach to takie historie nie dzieją się wszak bez powodu. Więc zapewne jeden z tych samolotów nie doleci do celu i runie na ziemię. I tylko zastanawiałem się, który. Bogu dzięki – nie runął żaden.

Lunch w stolicy Norwegii był bardzo smaczny. I tylko nie wiem, ile nas kosztował, bo ceny były w koronach, a my nie mieliśmy pojęcia, czy 70 bodaj koron za bułkę to dużo, czy może wręcz przeciwnie. Pewnie dużo, bo na lotniskach na całym świecie wszystko kosztuje dużo.

O 18:15 wylądowaliśmy w Amsterdamie. Tylko jakieś 4 i pół godziny spóźnienia. I sporo biedniejsi. Również o złudzenia, bo przecież myśleliśmy o sobie, że jesteśmy tacy światowi, tacy obtrząskani z lataniem i lotnikami, tacy – wytrawni podróżnicy. A tu taka wpada! I w dodatku niczego nie mieliśmy na swoje usprawiedliwienie; na naszych kartach pokładowych było napisane jak byk: gate 15! W dodatku siedząc tam sprawdzaliśmy na tychże kartach, jakie mamy miejsca i czy koło siebie; numer bramki napisany był obok. Do dzisiaj nie wiem, skąd wzięliśmy tę nieszczęsną „gate 2”. Ale była to bramka wyjątkowo pechowa.

I tu moja rada, całkowicie darmowa, choć nas kosztowała tak wiele; choćby nie wiem, jak byście byli pewni swego i jak bardzo bylibyście pewni swoich towarzyszy podróży, sprawdzajcie proszę ze trzy razy, przy jakiej bramce macie się ustawiać do samolotu. Szczególnie na małych lotniskach.



**JULIUSZ
BURGIN**

Chopiniana

*Uradziliśmy z Szopenem,
głowa w głowę,
następującą umowę:
Ja mu nie zarzucę,
że sentymalny
a on da mi spokój,
żem nie muzykalny*

*Idzie ku mnie alejką
w czarnym, smukłym surducie, jak w mgielce...
z laseczką ze srebrnym okuciem.
A ja mam kluchate ręce...*

*Dłoń podaję lekuchno
(toż on takie chuchro)
Zapraszam, choć na nokturnik,
przecież nie odmówi...*

*Proszę, spocznij Chopinie
i niech sprawi natchnienie,
(czy być może fluidy gdzieś w glebie?...)
że przez mgnienie, przez chwilkę,
przez fruniecie motylka
nikt mnie nie odróżni od ciebie.*

Dodatek liryczny

*Oj tristy, tristy
jest dusza artysty,
bo dusza rzewna
nie może być z drewna,
nieczuła,
fizyczna formuła.*

*Więc gdy zdarza się,
że jest wesota,
zaraz siada się
wokół stoła,
na którym flachę
zaraz stawia się,
wesotaść do smutku
wnet zalewa się.*

*Tristy, oj tristy
jest dusza artysty...*

GB

Brzoza o imieniu Julia



ALICJA GRYGIERCZYK

Patrzy na mnie z ufnością. Intuicja podpowiada jej, że się zgodzę. Tylko o to jej chodzi. Żeby rozumiała, co do niej mówią lekarze. Chce wyeliminować każde ryzyko. Reszta jej nie obchodzi. Przed oczami staje mi poród mojego dziecka. Tak jak ona, nie znałam holenderskiego i też byłam zagubiona, ale do głowy mi nie przyszło, żeby poprosić tłumacza. Słucham jej i myślę, że przecież też tak mogłam. Na pewno poród przebiegłby wtedy zupełnie inaczej. Zabrakło mi odwagi i ufności do obcych ludzi. Jej nie. Nawet nie przypuszczam, ile emocji we mnie uruchamia i jaki szacunek zdobywa. Dzwoni dopiero wtedy, kiedy bóle ją zniewalają. – Dlaczego nie wcześniej? – pytam. Czeka na mnie przed swoim domem, zgięta wpół. – Chcę zająć pani jak najmniej czasu, nie wiadomo jak długo to potrwa. W czasie jazdy, podziwiam jej spokój i opanowanie. Między jednym a drugim bólem, sprawdza czy wszystko ze sobą zabrała i upewnia się czy to prawda, że po porodzie, przez tydzień będzie przychodziła do niej na sześć godzin dziennie opiekunka, która pomoże jej przy dziecku. – Nie tylko przy dziecku. Będzie też dbała o to, żebyś dobrze wypoczęła i w ciągu tego tygodnia całkowicie się zregenerowała. Będzie sprzątała, prała, prasowała, robiła zakupy i gotowała. – I nic nie będę musiała za to zapłacić??? – jej oczy są tak samo zdumione, jak moje, dawno, dawno temu. – Nie, wszystko pokryje twoje ubezpieczenie. W szpitalu, położna na pytanie, czy mogą być obecna w czasie porodu, reagują entuzjastycznie: – Oczywiście, jesteś przez nas więcej niż mile widziana! Holenderskie położne. Ten zawód jest ich powołaniem. – Proszę, powiedz jej – mówi jedna z nich, że najważniejszy jest oddech. Ciało doskonale wie, jak sobie radzić, trzeba je tylko uważnie obserwować, poddać procesowi porodu, a kiedy pojawi się ból, przywitać jak przyjaciela, bo jest po to, żeby przypominać o oddechu, a tym samym pomóc dziecku przyjść na ten świat. Kiedy tłumaczę, słucha bardzo uważnie, bierze głęboki oddech a gdy ból mija, mówi mi, że był zupełnie znośny. Następny przychodzi zbyt szybko, zapomina o oddechu i jej ciało kurczy się z bólu. – Opowiedz jej – głos położnej jest

spokojny i ciepły – co się dzieje z dzieckiem, kiedy jej ciało się spina. Jest w stresie, ponieważ niespokojne ciało matki uniemożliwia mu kontynuowanie porodu. Dziecko potrzebuje dużo tlenu, bo wraz z nim dostaje dodatkową energię, która w tym momencie jest mu niezbędna. Dlatego ona musi głęboko oddychać. Powiedz jej, to jest bardzo ważne: to nie ona rodzi. To dziecko się rodzi. Ma przed sobą bardzo trudną drogę do przebycia. Jeżeli chce mu pomóc, powinna mocno oddychać. Julia. Takie imię dała dziewczynce, która za chwilę ma pojawić się na świecie. – Wiesz co znaczy imię Julia? – pytam ją między jednym a drugim bólem. – Nie wiem. To jest imię mojej babci, którą bardzo kochałam – patrzy na mnie wyczekująco. – Julia, znaczy: Promienna. Śmieje się serdecznie. – Taka właśnie była moja babcia! – Julia, betekent: Stralend – mówię do położnych, które chcą wiedzieć co spowodowało



wybuch radości u matki. Bóle są coraz częstsze, i coraz mocniejsze. Jest bardzo dzielna. Bardzo pilnuje, żeby zdążyła uprzedzić je głębokim wdechem. Jakiś pierwotny instynkt, znany chyba tylko kobietom, czuwa nad naszą współpracą: matki która rodzi, z tą która już kiedyś rodziła i położnymi, które przypominają, że mamy pomóc dziecku się urodzić. Nagle pojawia się lekarz. – Nie musisz dłużej cierpieć – mówi. – Masz do wyboru: zastrzyk znieczulający w kregosłup, który spowoduje, że nic nie będziesz czuć, albo morfinę, którą sama będziesz sobie dawkowała. Co wybierasz? Patrzy na mnie zdziwiona. A ja jeszcze bardziej zdziwiona, patrzę na lekarza. Przecież poród przebiega prawidłowo, przecież nic złego się nie dzieje. – Ja chciałabym urodzić naturalnie – zwraca się do lekarza wyjąc z bólu, bo odwrócił jej uwagę od oddechu. – No to dajcie

jej morfinę – lekarz wydaje polecenie i wychodzi. – Ale ja nie chcę morfiny. Położna, której to tłumaczę, zajęta jest szukaniem żyły, do której chce wprowadzić igłę. – To na wszelki wypadek – mówi – zainstalujemy kroplówkę i już tylko od ciebie będzie zależało czy będziesz chciała dalej cierpieć, czy nie. Matka Julii zostaje zaopatrzona w pompkę, za pomocą której może dawkować sobie morfinę w momencie, kiedy ból ją przerasta. Chce urodzić naturalnie, ale świat medyczny decyduje za nią. Kiedy na tacy zostanie podany łatwiejszy sposób, podświadomość podchwytuje to i dokonuje wyboru. Zawsze sięgnie po to, co najprostsze. I matka Julii mając do wyboru oddech, który jednak tylko częściowo ogranicza ból, i morfinę, która koi go skutecznie, naciska pompkę. Od tego momentu poród odbywa się prawie bezboleśnie. Położne zachwycają się jego przebiegiem, chwalą, że zdecydowała się wykorzystać postęp medycyny. A ja mam w głowie chaos i bolesną świadomość odwrócenia się od natury, brutalnego wtargnięcia w proces, który jest wprawdzie bolesny, ale naturalny, a tym samym doskonały. I rodzi się we mnie nieprzyjemne podejrzenie, czy tu przypadkiem nie chodzi o komfort czyjejś pracy... Ale nagle przychodzi ten najpiękniejszy moment: główka Julki, jej ramionka, radosny okrzyk położnej i łzy spływające po naszych policzkach. – Stralend! – śmieje się położna – jej główka nie jest ani trochę sina! Kładzie Julkę na piersi matki, a ja czując miłość która wypełnia szpitalny pokój, jestem wdzięczna losowi, że dane mi jest przeżywać coś tak mistycznego. – Zapytaj ją, czy chce zabrać łóżko do domu, czy zostawić w szpitalu? – położna zadając to pytanie zajęta jest dokładnym jego oglądaniem. – Ona pyta, czy chcesz zabrać łóżko do domu – mówię zdumiona. Oczy matki Julki też wyrażają zdumienie, ale i ciekawość. – Ale po co??? Proszę, zapytaj ją o to... Położna wyjaśnia nam, że ostatnio jest to bardzo często praktykowane. Rodzice zakopują łóżko w ogrodzie a potem sadzą na nim drzewo o imieniu dziecka. – Co za wspaniały pomysł – zachwyca się matka Julki – ale ja nie mam ogródka! – No to kup dużą donicę i ziemię, łóżko się w niej rozłoży, a po jakimś czasie każda roślina wchłonie energię Stralend – podpowiada położna. – Tak, chcę zabrać łóżko do domu – mówi matka Julki, a mnie zachwyca jej decyzja i zobowiązuję się kupić donicę i ziemię. – To będzie brzoza – uśmiecha się do mnie – może kiedyś będę miała ogródek. A jak nie, to zawiozę ją do Polski i razem z dziadkiem posadzimy ją w ogrodzie. Brzozę o imieniu Julia. **AG**

Przepraszam, że co?



AGNIESZKA STEUR

leż było wątpliwości i pytań w chwili, gdy moje dzieci zaczęły mówić. Tak bardzo obawiałam się dwujęzycznych sytuacji. Nie wiedziałam, jak to będzie, gdy w naszym całkiem codziennym życiu pojawią się niderlandzkie słowa, których nie będę rozumieć. A co zrobić z tymi słowami, których nadal nie potrafię wypowiedzieć? A dlaczego moje dzieci nie chcą między sobą rozmawiać po polsku? Pytania się mnożą, ale i odpowiedzi pojawiają się same, bo tak to już jest w życiu.

Dzieci dorastają, a ja już dawno przestałam się bać tych lingwistycznych zawirowań, ponieważ każdy dzień przynosi całkiem inne wyzwania. Czasem irytuję się, gdy mówię jakieś słowo niepoprawnie, ale tak samo irytuję się, gdy szklanka rozbija się o twardą podłogę. To już nie stanowi wyzwania. Rozumiemy się i to jest nasz sukces.

Mój sukces tylko do chwili, gdy syn wchodzi do pokoju i już w drzwiach krzyczy:

– Mama zobacz, ja już rozumiem!

– Co rozumiesz?

– Popatrz – wskazał palcem stronę papierowej reklamówki sklepu, w którym sprzedają ogrodowe baseny. – Widzisz, ja wiem ile tu się zmieści metrów sześciennych wody. Łatwizna! Patrz, tu masz długość, to mnożysz przez szerokość, a potem jeszcze przez głębokość. Patrz, tu mnożysz to przez to i ci wychodzi dwieście. Potem to dwieście mnożysz przez czterdzieści i masz osiem tysięcy. No i tyle masz litrów. No a wiesz, że jeden litr jest to samo, co 1 decymetr sześcienny i tu odciągasz te zera i ci wychodzi, że osiem metrów sześciennych.

– ?

Nie bardzo wiem, co właśnie usłyszałam i ogarnia mnie przerażenie, że całkiem nieświadomie byłam w śpiączce i coś przegapiłam. Jak ogarnąć pojemność basenu, pojemnością mego nie matematycznego mózgu? Jak ogarnąć to, że on potrafi – łatwizna.

Gdy pierwszy szok minął i przyjął z pokorą świadomość, że nie każdy musi mieć w głowie kalkulator, jak grom z jasnego nieba spadł na mnie kolejny wstrząs. Komputer! Nie ma życia bez komputera, to wie każda mama dorastającego chłopca.

– Mama, to łatwe, słuchaj: musisz ściąć drzewo i masz drewno. Potem musisz zrobić deski, a z nich musisz zrobić workbench. Tam masz dziewięć bloków do craftingu, a w inventory tylko cztery.

– Czekaj, co jest inventory...?

– Jak klikniesz na E to tam masz inventory i widzisz, co ty masz, co zabrałaś i takie tam.

– ?

– Jeju, nie rozumiesz? Masz deski z drewna, a je masz w małym craftboxie i w ten sposób masz pierwszego craftboxa. Potem możesz zrobić dużego craftboxa, ale to musisz już robić sama właśnie z małego. A wiesz, co jeszcze jest fajne, nowe mody.

– ?

– Jest ich całe mnóstwo. Herobrine mod, explosives +mod, slender mod, mutant enderman mod i more explosive mod, ale ja najbardziej lubię explosive +mod i more explosive mod, te są najlepsze. Wiesz, czemu? Bo masz dużo wybuchów, TNT wiesz takie rzeczy wybuchowe i, i, i – widzę, jak bardzo się rozpędza – i masz bombę atomową, i granaty dymne i jeszcze rocket launcher. Tam masz jeszcze bomby z lawy, C4 i jeszcze takie bomby, które wybuchają, potem jest 9 C4 i one też wybuchają i masz time bom. O i jeszcze tam jest bazooka!

Potem zaczął wymieniać rodzaje TNT, ale już się całkiem pogubiłam. Może gdyby nie szok spowodowany ilością niezrozumiałych słów, zaczęłabym dyskusję na temat brutalności, wybuchów i wielu końców cyfrowego świata, ale nagle poczułam się bardzo stara. Przełożmy to na inny dzień.

Środy też są pełne słów z jeszcze innego świata. Mój syn uczęszcza na zajęcia kółka szachowego. Gdy już ogarnia mnie radość, że wiem, co to hetman, a co wieża i jak się poruszają, odbywa się kolejna rozmowa, której nie spisałam bez pomocy tłumacza.

– Dziś na szachach zrobiłem zwiążanie z królową.

– Co zrobiłeś?

– Wygrałem z Kacprem w szachy. A wiesz, jak? Stawiam tak, że nie można nic zrobić. W końcu zrobiłem szach-mat przeciwnikowi, królową zbiłem pionka, a królowa była zakryta gońcem. – Na niewidzialnej szachownicy, zawieszony w powietrzu, kreśli miejsce wszystkich figur.

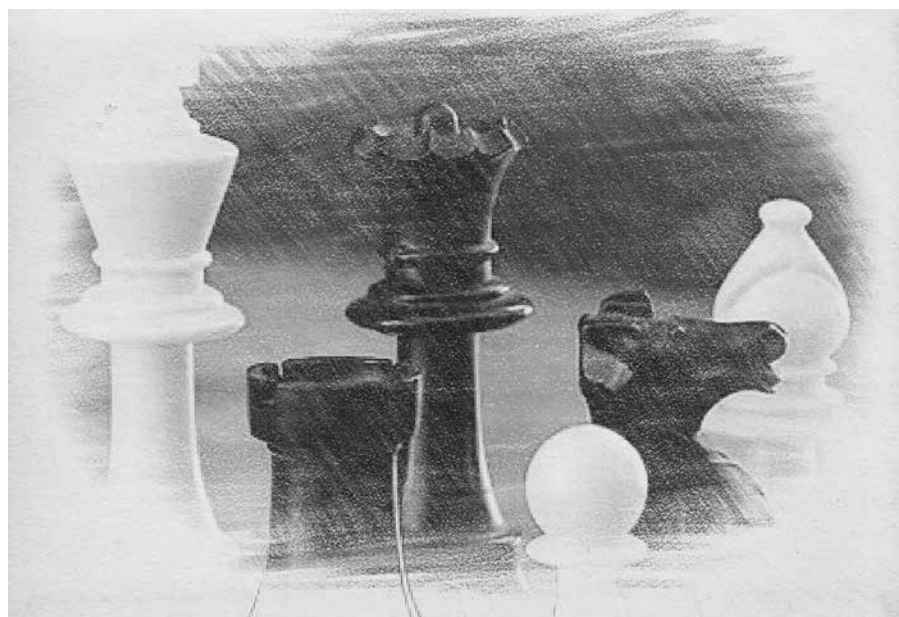
– No i co wtedy?

– No i był szach-mat! To chyba oczywiste!

– ?

Oczywiście staram się poznawać słownictwo szachowe, przeszukuję Internet za wyjaśnieniami i zaczynam pojmować matematyczne wzory, chwilami nawet wydaje mi się, że rozumiem, co to mody. Jednak życie i zainteresowania dzieci zmieniają się tak szybko, że gdy już wydaje mi się, że wszystko pojmuje, pojawiają się nowe i wszystko zaczyna się od początku.

Sytuacje dwujęzyczne? Jakie sytuacje dwujęzyczne? AS



Między whatsappami

O korespondencji H. Arendt i M. McCarthy: „Between friends”



ELŻBIETA WICHA-WAUBEN

Tekst ten połączy w całość linie, jakie w wyobraźni przeciągam z jednego miejsca świata do drugiego. Trochę w taki sam sposób, jak niektórzy ludzie łączą na mapie miejsce swojego zamieszkania z miejscami, które w ciągu życia odwiedzieli, tworząc z nich rodzaj zniekształconej gwiazdy z nieregularnymi promieniami.

Pierwszą linię – upraszczając i kondensując 27 lat czyjegoś życia – rysuję od Królewca do Paryża. Następnie łączę Paryż z Nowym Jorkiem. I dopiero z Nowym Jorkiem jako centrum tworzę nieregularną gwiazdę: łączę Nowy Jork z Chicago, Kalifornią, Waszyngtonem i innymi miejscami Stanów Zjednoczonych, z miastami w Szwajcarii, Niemczech i Włoszech. Z Izraelem. I bardzo grubą kreskę przeciągam od Nowego Jorku do Paryża.

Tak schematycznie ujmuję życie Hanny Arendt. Hanna (właściwie: Hannah, lecz z powodu problemów z deklinacją używam formy spolszczonej) Arendt (1906-1975) dzieciństwo spędziła w Królewcu, studiowała w Marburgu, Freiburgu i Heidelbergu. W 1933 roku emigrowała do Paryża, a stamtąd w 1941 roku do Nowego Jorku. Była na emigracji przez 42 lata swojego życia, 34 lata mieszkała w Nowym Jorku.

Hannah była emigrantką polityczną. Przybyła do Stanów z osobistym bagażem nieszczęśliwej i nieodwzajemnionej miłości do Heideggera, nieudanego pierwszego małżeństwa. Przyjechała z drugim mężem, z którym pozostała do końca życia. Była emigrantem w klasycznym tego słowa znaczeniu: opuściła Niemcy i Europę i stała się Amerykanką.

Mary McCarthy (1912-1989) osierocona przez oboje rodziców w wieku 6 lat, wychowywana była najpierw przez katolicką rodzinę ojca, potem przez protestancką rodzinę matki. Ukończyła studia w Vassar

College. Swoje skomplikowane życie kontynuowała w Nowym Jorku. Czterokrotnie wychodziła za mąż. Z drugiego małżeństwa miała syna Reuela Wilsona.

Jej gwiazda życia ma dwa centra: jedno w Nowym Jorku, drugie w Paryżu. Z Paryża wychodzi ten dziwny załamany promień: Paryż – Warszawa – Wiedeń – Rzym, który symbolicznie odzwierciedla całą zagmatwaną historię rozwodu i czwartego małżeństwa.

W 1961 roku Mary McCarthy wyszła za mąż za amerykańskiego dyplomata, którego poznała w Warszawie. Przez pewien czas była przekonana, iż swój nowy dom urządzi w Warszawie. Ale to Paryż stał się na długie lata miejscem zamieszkania.

Mary McCarthy nie emigrowała. Nie zamierzała się naturalizować. Była Amerykanką w Europie i nigdy tej tożsamości nie kwestionowała.

Bardzo długo Mary McCarthy znałam tylko jako autorkę powieści „Ptaki Ameryki”, wydanej w 1975 roku przez PIW. Objawiała mi się potem w kilku zupełnie różnych postaciach: jako autorka wydanej w 1963 roku feministycznej powieści „Grupa” o losach 6 kobiet, które w tym samym roku 1933 ukończyły studia w prestiżowym Vassar College; jako autorka reportaży z Wietnamu z okresu wojny wietnamskiej; jako bohaterka „Wspomnień z katolickiej młodości” (tytuł oryginału angielskiego: „Memoires of a Catholic girlhood”, 1957), gdzie przedstawia swoje skomplikowane dzieciństwo, którego nie da się określić żadnym wyrażeniem, ponieważ zabrzmi ono banalnie; jako pisarka, która pisze książki o swoich ulubionych miastach włoskich: „The stones of Florence” i „Venice observed” (obie z roku 1956). I wreszcie – i nie będzie to określeniem przesadnym – jako dozgonna przyjaciółka Hanny Arendt.

Hannah Arendt była tytanem myślenia. Najbardziej znanymi jej dziełami są:

„Korzenie totalitaryzmu” (1951), „Kondycja ludzka” (1958), „Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła” (1963), „Myślenie” (część pierwsza niedokończonego projektu: „Życie umysłu”, wydane pośmiertnie w 1978, zredagowane przez Mary McCarthy).

Przyjaźń tych dwu kobiet nie zaczęła się od pierwszego wejrzenia, lecz trwała ponad ćwierćwiecze, do śmierci Arendt. Ich korespondencja obejmuje lata 1949-1975.

Listy są dziwnym gatunkiem literackim. Nie powstają według z góry ustalonego planu, jak inne dzieła literackie, nie prowadzą czytelnika do z góry założonego zakończenia. Kompozycję korespondencji tworzy samo życie, a jak wiadomo rozwiązania, jakie proponuje życie, są czasami niewiarygodne. Listy nie są jednak odzwierciedleniem życia: są komentarzem i przypiskami do życia. Są namiastką życia. W tekście listów bogactwo życia jest tylko przeczuwalne.

Przyjaźń Arendt i McCarthy nie trwała dlatego, że wymieniały listy. Prowadziły korespondencję, ponieważ się przyjaźniły i nie mogły bez siebie żyć. Widywały się regularnie, po obu stronach oceanu. Dedykowały sobie nawzajem książki. Ich listy zawierają komentarze wszystkich aktualnych wydarzeń politycznych, recenzje książek, które właśnie czytały, obok bardzo osobistych wynurzeń.

Z Rzymu 15 maja 1960 roku Mary McCarthy pisze do Arendt:

„Piszę do Ciebie z powodów czysto egoistycznych: ponieważ serce moje przepełniają emocje i chciałabym porozmawiać. Jakbyśmy były w Twoim mieszkaniu.” (str. 73)

Arendt, pocieszając McCarthy po nieodwzajemnionej miłości, wypowiada taką myśl:

„Nie możesz oczekiwać od kogoś, kto cię kocha, że będzie cię traktował mniej okrutnie, niż traktuje on siebie samego. Równość w miłości zawsze jest raczej straszna. Współczucie (nie listość) może być wspólną rzeczą, w miłości jednak nie istnieje”. (str. 49)

Hannę Arendt i Mary McCarthy łączyła inteligencja i zaangażowanie społeczne. Różniła je wrażliwość. Hannah była obcesowa w kontaktach międzyludzkich (być może dzisiaj zostałaby zdiagnozowana jedną z wyodrębnionych i nazwanych w ostatnich czasach przypadłości psychicznych). Mary była wrażliwa, by nie powiedzieć przewrażliwiona. Bardzo ładnie obrazuje to opisane w listach przez obie kobiety wydarzenie:

We wrześniu 1974 roku, rok przed śmiercią Arendt, Mary McCarthy po powrocie z urlopu w Stanach, pisze z Paryża do Arendt:

„Dziękuję, że nas odwiedziłaś. Smutno było mi patrzeć, jak przechodzisz przez barierkę na lotnisku i nie odwracasz się, by po-

machać na pożegnanie. Coś się dzieje lub coś się już stało z naszą przyjaźnią i nie wydaje mi się, że zauważając to, daję dowód mojego przewrażliwienia, że wyobrażam sobie rzecz”. (str. 364)

W trzy dni później Arendt odpisuje:

„Czekałam jeden dzień, aby to przemyśleć, ale absolutnie nic nie przychodzi mi do głowy. O sobie wiem, że nie jestem wrażliwa i raczej ograniczona we wszystkich czysto psychologicznych sprawach. Ale wiesz to o mnie już przecież od dłuższego czasu.” (str. 365)

Dlaczego czytam cudze listy – co prawda zredagowane i udostępnione publicznie, ale jednak nie do mnie adresowane?

Czytam, ponieważ chcę sprawdzić, czy ich życie ma jakieś punkty styczności z moim życiem.

Moją linię przeciągam z Lublina, gdzie po raz pierwszy czytałam „Ptaki Ameryki”, do Amsterdamu, gdzie po raz kolejny czytam książkę w oryginale. Na jakiejś nieuchwytniej płaszczyźnie linia ta przecina linie, którymi zobrazowałam życie Hanny Arendt i Mary McCarthy i w jakimś nieuchwytnym miejscu niepojęte trybiki skojarzeń zaskakują, jakieś koło się zamyka, powstaje coś, jakby sens czy znaczenie.

Okazuje się, że jednym z prototypów postaci bohatera „Ptaków Ameryki”, Petera Levi, jest syn Mary McCarthy: Reuel Wilson, który studiował slawistykę w Krakowie i który odbywał samotne podróże po Europie:

„Reuel był w Jugosławii, na skuterze Lambretta, który kupił, i napisał mi o tym interesujący list. Jego posada w Paryżu zawałowała się po miesiącu, podobnie jak ta podłoga, wyruszył więc Lambrettą do Wenecji, zatrzymując się po drodze w Górnej Sabaudii, a potem, zupełnie sam, pojechał do Jugosławii. Zdaje się, że jest teraz w drodze powrotnej do Wenecji”. (str. 59)

Jego doświadczenia jako cudzoziemca w Paryżu brzmią bardzo swojsko:

„Reuel przyjeżdża dzisiaj z Paryża. Spędził samotnie, lecz owocne lato na Sorbonnie, uczęszczając na wykłady i na spektakle Comédie Française, wiosłując każdego popołudnia w zupełniej samotności na jeziorze w Lasku Bulońskim. Martwił się, że nie nawiązał znajomości z żadnym Francuzem”. (str. 42)

Innymi wzorcami postaci Petera Levi byli synowie Czesława Miłosza (str. 164).

Do tych intrygujących związków Mary McCarthy z Polską należy przyjaźń z Józefem Czapskim oraz fakt, że jej długoletnia gospośnia nazywała się Maria Dombrowska czy może Maria Dąbrowska.

O Warszawie pisze tak (Hotel Bristol, 29 czerwca 1960):

„Warszawa, w przeciwieństwie do Berlina Zachodniego, wydaje się rzeczywista, ładna i prawie sielankowa, migocząca bla-

skiem w intensywnej, letniej zieleni gęsto dzikiego wina, w złotym świetle Belotta na kościołach, z doniczkami czerwonych i białych pelargonii wzdłuż ulic i na parapetach okien. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa, tak kompletnie zakochana, że nie wydaje się to uczuciem, lecz żywiołem, w którym zostałam zanurzona”. (str. 84)

I gdy przyjrzała się miastu trochę bliżej (Hotel Grand, 23 listopada 1960):

„W międzyczasie, z wyjątkiem dziesięciu dni w Krakowie i Południowej Polsce z Reuelem, żyję, ukrywając się w tym pokoju hotelowym, nie spotykając nikogo oprócz Jima, na lunch lub kolację (jeśli obowiązki służbowe tego nie udaremnią), czasami wychodząc po południu na spacer ulicami, na których nie będę zauważona. Dało mi to raczej interesujący obraz ciemnej strony Polski – moja własna anonimowość odpowiadająca anonimowemu charakterowi nowoczesnego socjalistycznego państwa. Wszystko, co widziałam przedtem – wszystko osobiste i prywatne – zostało wyeliminowane z mojego obecnego życia, czego rezultatem jest możliwość obserwowania masowej Polski w jej czystym stanie: bezbarwne tłumy przemieszczające się beładnie szarymi ulicami, sklepy i restauracje wszystkie takie same, wszyscy noszący te same ubrania, księgarnie z tymi samymi książkami, w hotelach masowa turystyka (grupy Chińczyków, Koreańczyków z Korei Północnej, Niemców z Niemiec Wschodnich, Bułgarów, meldujących się i wymeldowujących pod nadzorem przewodników, spożywających posiłki w hotelowych restauracjach przy długich stołach z narodową flagą pośrodku, wszyscy bardzo źle ubrani i prawie wszyscy z aparatami fotograficznymi i wszyscy mówiący cichym głosem lub milczący) ”. (str. 105)

Punktem styczności mojego życia z życiem Hanny Arendt i Mary McCarthy jest sytuacja przebywania na stałe lub na dłużej w obcym kraju.

Kontakt emigranta z przyjaciółmi i znajomymi z kraju, z którego pochodzi, najczęściej sprowadza się do korespondencji – w różnych jej formach: kiedyś w listach i telegramach, obecnie różnymi sposobami, umożliwionymi internetem. Jakkolwiek nie byłaby częstotliwość – jest to jednak zawsze kontakt wirtualny. I jeśli ten kontakt w „wirtualu” nie ma możliwości karmienia się kontaktem w „realu” – przyjaźnie i znajomości wygasają.

I aby znajomość trwała, muszą starać się o to obie strony. W praktyce, z tego, co wiem z opowieści emigrantów, większe wysiłki podejmuje emigrant. To emigrant częściej odwiedza przyjaciół i znajomych w rodzinnym kraju, niż jego przyjaciele i znajomi odwiedzają emigranta w obcym kraju. Wiąże się to z sytuacją finansową, niemniej jed-

nak to zwykle emigrant odczuwa większą potrzebę kontaktu.

Ci, którzy zostają, zostają w znanym kręgu rodziny oraz przyjaźni i znajomości, zawartych w czasach młodości. Ich życie ma jeden ciąg, nie zostaje rozszczerzone poprzez opuszczenie kraju. W nowym kraju emigrant musi zbudować sobie te wszystkie społeczne konstrukcje, których pozbawił się wyjazdem. Emigrant poprzez utrzymywanie przyjaźni i znajomości z młodości stara się utrzymać jedność swojego życia. Tego wysiłku nie musi czynić ktoś, kto pozostaje.

Istnieje coś takiego jak „kondycja emigranta”.

Emigrant musi sobie stworzyć życie między mailami i whatsappami, które – mimo, że często sprawia wrażenie, że jest tylko na niby – jest tym życiem, które się naprawdę przeżywa.

EWW

(„Between Friends. The Correspondence of Hannah Arendt and Mary McCarthy 1949-1975”, New York 1995)

Juliusz Burgin

Chopinowi

Puścitem we Francji

Chopina do lasa.

Zawsze po salonach,

niech se raz pohasa...

To było wieczorem

a teraz jest ranek

i widzę, że z muzyki

taki splótt się wianek:

malwy pączaste, chabry i wierzbowe

witki,

z tej strony bucyna, z tamtej bzone

kitki...

Rzewny jest i mocny i wygląda

bosko

a pachnie ten wianek... Polską.

JB

Pomagamy dzieciom odkrywać Świat!

Fundacja Junior rozpoczęła swoją działalność w roku 2011, oficjalnie uznanym przez Komisję Europejską za Europejski Rok Wolontariatu.

Jesteśmy organizacją pozarządową o charakterze non-profit, opierającą swe działania tylko i wyłącznie na zaangażowaniu naszych Wolontariuszy.

Naszą misją jest prowadzenie korepetycji dla dzieci mających problemy z nauką oraz organizowanie im czasu wolnego poprzez angażowanie je w różnorodne wydarzenia kulturalne jak i sportowe. Wierzymy, że szansa rozwoju edukacji, poszerzenia kultury osobistej oraz promocji sportu powinna przysługiwać wszystkim dzieciom niezależnie od tego w jakich warunkach są wychowywane i dorastają. Fundacja Junior wspiera więc rodziny o różnym statusie materialnym, szczególnie te w których ograniczony jest dostęp do edukacji oraz ośrodków kultury i sportu. Naszym celem jest pomoc w budowie społeczeństwa wykształconego, kulturalnego i wysportowanego.

Fundacja Junior oparta jest na trzech filarach:

- **I – „Nauka”** – Nasi wolontariusze prowadzą korepetycje dla dzieci, które mają problemy z nauką. To szkoła jest dla dzieci podstawą rozwoju intelektualnego. Chcemy by radziły sobie w niej, jak najlepiej.
- **II – „Kultura”** – Organizujemy dla naszych podopiecznych seanse filmowe, wyjścia do teatru, warsztaty. Chcemy by dzieci już od najmłodszych lat miały kontakt z ciekawymi wydarzeniami kulturalnymi oraz by wychowywały się świadome bogactwa kultury w najróżniejszych formach.
- **III – „Sport”** – Dzieci oprócz nauki i kultury muszą rozwijać się także pod względem sportowym. Dla tego też organizujemy wydarzenia sportowe, które mają na celu obudzić w naszych podopiecznych ducha młodego sportowca.

Michał Pietrzak



JUNIOR

Fundacja Junior

Świętosławska 9

61-840 Poznań

www.fundacijunior.pl

ANKA KOZIEŁ

wokalistka, kompozytorka, aranżerka i profesorka śpiewu jazzowego
prezentuje:

KOMPLETNĄ TECHNIKĘ WOKALNĄ (CVT)

Śpiew nie jest trudny i każdy może się go nauczyć!

W godzinnej prezentacji dowiedzą się państwo czym jest CVT i dlaczego jest tak popularne wśród wokalistów na całym świecie. Po prezentacji ochotnicy będą mogli sami popracować nad głosem w indywidualnych sesjach.

Oprócz bardzo nowatorskiego podejścia do emisji głosu i jego treningu, CVT to jedyna technika, która tłumaczy efekty wokalne takie jak przester, warkot czy ryk, dzięki czemu można nauczyć się ich używać bez rujnowania sobie gardła.

Anka Kozieł, oprócz tego, że jest wokalistką jazzową, jest również autoryzowaną trenerką Kompletniej Techniki Wokalnej i profesorką śpiewu jazzowego w Królewskim Konserwatorium w Hadze. Na scenie lubi eksperymentować z dźwiękiem i używa niezliczonych efektów w jazzowych improwizacjach. Dzięki CVT Anka powiększyła swój zasób efektów dźwiękowych, stylów muzycznych, jak również wróciła do czterooktawowej skali głosu, którą wcześniej zawężyło jego niewłaściwe szkolenie.

www.kompletnatechnikawokalna.pl

Kontakt:

Fundacja "hOlendry" Nowa Róża 2; 64-300 Nowy Tomyśl
tel: +48 61 44 115 22; kom. +48 603 801 725; email: nowarozha@gmail.com

Nowa Róża
28 lipca 2013
15.00





Obsługa imprez okolicznościowych
SOLIDNIE,
KOMPLEKSOWO,
PROFESJONALNIE

- * Wesela
- * Poprawiny
- * Rocznice ślubów
- * Studniówki
- * Bankiety
- * Dancingi
- * Festyny
- * Przyjęcia urodzinowe
- * Bale sylwestrowe i karnawałowe
- * Biesiady
- * Imprezy firmowe

PREZENTER MUZYCZNY
WOKALISTA WODZIREJ



607-168-996
djanzel.pl

PREZENTER MUZYCZNY
WOKALISTA WODZIREJ



OPRACOWANIA GRAFICZNE

DRUK CYFROWY

DRUK OFFSETOWY

PIECZĄTKI

DRUKARNIA SWARZEDZKA
Słońce i Marek Wierocki



PORA na najnowocześniejszy
DRUK CYFROWY
kolorowy i czarno-biały

www.drukarniaswarzedzka.pl

62-020 Swarzędz, ul. Pogodna 24a
tel. 61-817-27-64, 61-651-57-02

Podróż życia mamy i córki



Tajlandia - Laos - Malezja - Indie - Nepal



3 miesiące

33.000 km

bezcenne wspomnienia



Prezentacja na życzenie

Kontakt: poolspodium@gmail.com



JARMARK CHMIELO-WIKLINIARSKI



www.nok.home.pl

W dniach 23, 24, 25 sierpnia 2013 roku
obędzie się **trzydniowy Jarmark Chmielo-Wikliniarski** -
najważniejsza impreza kulturalno - rozrywkowa w mieście.

Podczas Jarmarku podziwiać można pracę plecionkarzy
i kupić ciekawe wyroby wykonane z wikliny.
Imprezie towarzyszą liczne kiermasze handlowe
i gastronomiczne oraz koncerty plenerowe.

Urząd Miejski w Nowym Tomyślu

ul. Poznańska 33, 64-300 Nowy Tomyśl
tel. 61 44 26 600, www.nowytomysl.pl